

Alastair Reynolds

Wielki Mur Marsa

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że możesz tam zginąć – powiedział Warren.

Clavain spojrział w sprawne oko swego brata, jedyne, jakie pozostało mu po bitwie ze Wspólnotyami na Tharsis Bulge.

– Tak, wiem. – odpowiedział. – Jednak jeśli wybuchnie kolejna wojna, wtedy zginąć możemy wszyscy. Gotów jestem zaryzykować, jeżeli może nam to przynieść szansę na pokój.

Warren pokręcił głową zrezygnowany.

– Nieważne ile razy będziemy to wałkować, do ciebie to po prostu nie dociera, prawda? Nie może być mowy o jakimkolwiek pokoju. Nie może, tak długo, jak długo oni wciąż tam są. Oto, czego nie potrafisz zrozumieć, Nevil. Że jedyne długoterminowe rozwiązanie to... – urwał.

– No dalej – Clavain podchwycił – Powiedz to. Genocyd.

Warren może i był gotów odpowiedzieć, jednak przeszkodziło mu jakieś zamieszanie w głębi rękawa cumowniczego, po przeciwnej stronie, niż oczekujący prom. Clavain dojrzał poprzez drzwi grupę ludzi reprezentujących media, następnie postać przeciskającą się przez nich z trudem, udzielającą jak najkrótszych i zdawkowych odpowiedzi. To była Sandra Voi, Demarchistka, która miała się wraz z nim udać się na Marsa.

– Nie ma mowy o genocydzie, gdy sprawa dotyczy zaledwie frakcji, a nie grupy etnicznej, czy zagrożonej rasy. – Powiedział Warren, zanim Voi znalazła się w zasięgu głosu.

– Więc o czym mówimy, w takim razie?

– Bo ja wiem? Daleko idącej roztropności?

Voi podeszła do Calvaina i Warrena. Szła sztywno, na jej twarzy malowała się cicha rezygnacja. Dopiero co wysiadła z promu. Miała za sobą trzytygodniową podróż z Circum-Jove na maksymalnym „kopie”... Przez te trzy tygodnie szanse na rozwiązanie pokojowe znacznie stopniały.

– Witamy na Deimosie – powiedział Warren.

– Panowie... – powiedziała zwracając się do obu – załuję, że okoliczności nie są bardziej sprzyjające. Przejdźmy od razu do sedna. Warren, jak myślisz, ile mamy czasu na znalezienie rozwiązania?

– Niewiele. Jeśli Galiana nie zmieni schematu, według którego postępuje od sześciu miesięcy, następna próba ucieczki powinna nastąpić... – Warren spojrział na wyświetlacz

zatopiony w mankencie – ...za trzy dni. Jeśli rzeczywiście spróbuje i kolejny prom opuści powierzchnię Marsa nie będziemy mieli innego wyjścia, jak nasilić środki.

Wszyscy doskonale wiedzieli co kryło się pod „nasileniem środków”. Zbrojne uderzenie na gniazdo.

– Jak do tej pory tolerowaliście jej próby. – powiedziała Voi. – I za każdym razem nie mieliście problemu ze zniszczeniem promu wraz z jego załogą. Szanse przedostania się któregośkolwiek z promów nie wzrosły ani na jotę. Skąd więc ta nagła idea odwetu?

– To proste. Po każdej próbie wysyłaliśmy Galianie silniejsze i bardziej stanowcze ostrzeżenie. Poprzednie było absolutnie ostateczne.

– Jeśli zaatakujecie, złamiecie warunki traktatu...

Na twarzy Warrena zagościł triumfalny uśmiech.

– Niezupełnie, Sandro. Mogłaś nie zapoznać się z warunkami umieszczonymi drobnym drukiem, ale w rzeczywistości dają nam one możliwość interwencji bez łamania jakichkolwiek postanowień. Formalnie jest to, bodajże, akcja policyjna.

Clavain zauważył, że Voi momentalnie odjęło mowę. Trudno się było dziwić. Traktat pomiędzy Koalicją i Wspólnotą – który zresztą powstał przy współdziałaniu Demarchii – był najdłuższym istniejącym dokumentem, z pominięciem być może jakichś wygenerowanych komputerowo matematycznych dowodów. Jego treść miała być jakoby niezbita i niepodważalna, jednak w całości przeczytany został jak do tej pory tylko przez komputery. I to wyłącznie komputery zdolne były do znalezienia w nim luki. Takiej jak ta, którą Warren mógł się teraz otwarcie cieszyć.

– Nie... – powiedziała – To musi być jakiś błąd.

– Obawiam się, że on ma rację – potwierdził Clavain. – Widziałem przełożone do języka naturalnego strzeszczenia, z których wynika, że nie ma żadnych legislacyjnych zastrzeżeń w sprawie akcji policyjnej. Aczkolwiek nie musi do tego dojść. Jestem przekonany, że zdołam przekonać Galianę, aby zaniechała prób ucieczki.

– A jeśli nam się nie powiedzie? – Voi spojrzała na Warrena. – Za trzy dni Nevil i ja możemy wciąż przebywać na Marsie...

– Radziłbym więc nie przebywać.

Voi, zdegustowana, odwróciła się i zniknęła w chłodnej zieleni promu. Clavain został jeszcze przez chwilę sam na sam z bratem. Warren postukał w skórzaną łątkę zasłaniającą zniszczone oko chromowanymi palcami protezy. Jakby chciał dobitnie przypomnieć Clavainowi ile kosztowała go ta wojna. I jak niewiele miłości bliźniego miał dla przeciwnika. Nawet teraz.

– Nia mamy żadnej szansy na sukces, prawda? – bardziej stwierdził, niż spytał Clavain. – Lecimy tam tylko po to, abyś mógł potem powiedzieć, że wykorzystasteś każdą formę negocjacji, zanim wysłałeś żołnierzy. Ty naprawdę chcesz kolejnej, pieprzonej wojny.

– Nie bądź takim defetystą – Warren pokręcił smutno głową, rozczarowany jak zawsze postawą brata. – Zupełnie ci nie do twarzy.

– To nie ja tu jestem defetystą – powiedział Clavain.

– Nie, nie, nie... Oczywiście, że nie. Po prostu zrób wszystko, co w twojej mocy, braciszku.

Warren wyciągnął swą rękę. Clavain zawahał się i raz jeszcze spojrzął w zdrowe oko brata. Oko śledczego podczas przesłuchania – blade, bezbarwne i zimne jak grudniowe słońce. Była w nim nienawiść. Warren gardził pacyfizmem Clavaina. Nie mógł znieść głębokiej pewności Nevila, że każda forma pokoju, nawet pokoju opierającego się na chwiejnych okresach podejrzliwości pomiędzy kolejnymi kryzysami, była lepsza od wojny. Ta braterska schizma pograżyła jakiegokolwiek związki i ewentualne nitki uczuć między nimi. Nawet teraz, kiedy Warren przypominał Clavainowi o ich braterstwie w jego głosie zawsze było słyhać nie do końca ukryty niesmak.

– Mylisz się co do mnie – powiedział Clavain szybko potrząsając ręką brata.

– Nie sędzę. Naprawdę, uwierz mi, nie sędzę.

Clavain przestąpił przez służę powietrzną dosłownie na sekundę, zanim drzwi zamknęły się i zablokowały. Voi zdążyła się już wygodnie usadowić w fotelu. Spojrzenie miała nieobecne, jakby próbowała wpatrywać się w nieskończoność. Clavain domyślił się, że załadowała sobie poprzez implanty treść traktatu. Prawdopodobnie skanowała go teraz w poszukiwaniu wspomnianej luki. Być może też szukała precedensów w sprawie akcji policyjnych.

Statek rozpoznał Clavaina, dostosował się do jego osobistych ustawień. Zieleń przeszła w głębszy turkusowy, dane na wyświetlaczach zostały zredukowane tylko do najbardziej krytycznych dla lotu wskaźników. Pomimo iż prom był najmniejszym możliwym statkiem cywilnym i tak wydawał się wielki jak katedra w porównaniu z minijednostką desantową, jaką Clavain pilotował w czasie wojny; nie tyle statkiem nawet, co zbroją, na wzór średniowiecznej chroniącą organizm walczącego.

– Nie przejmuj się traktatem – powiedział Clavain. – Obiecuję ci, że Warren nie będzie miał nawet okazji zastosowania tej swojej luki.

Voi, wyrwana z transu, wydawała się być lekko rozdrażniona.

– Obyś miał rację, Nevil. Czy to tylko mnie się tak wydaje, czy twój brat ma raczej większy interes w tym, żeby nam się nie powiodło? – zwróciła się do niego w kanadyjskim francuskim. Clavain musiał porządnie wysilić umysł, żeby zrozumieć jej słowa. – Jeżeli moi ludzie odkryją, iż ukryte są w tym jakieś ciemne interesy, komuś przyjdzie za to zapłacić. Słono.

– Na Tharsis Bulge Wspólnota dała Warrenowi wystarczająco powodów do nienawiści. A do tego on jest taktykiem, nie specjalistą od zasiewów. Po zawieszeniu broni moja wiedza o robalach okazała się jeszcze cenniejsza, niż wcześniej, znalazłem swoją rolę. Jego zdolności mają znacznie konkretniejsze zastosowanie.

– I to daje mu prawo do popychania nas ku kolejnej wojnie? – Z tonu głosu Voi można było wywnioskować, że nie występuje z pozycji całkowicie i absolutnie neutralnej. Co nie zmieniało faktu, że miała rację. Gdyby konflikt między Wspólnotą, a Koalicją zaostrzył się na nowo, Demarchia nie dołączyłaby pozostać, jak przed piętnastoma laty, bezstronną. I nie trzeba było się szczególnie wysilać, aby zgadnąć, po której stronie tym razem by się opowiedziała.

– Nie będzie wojny.

– A jeśli nie zdołasz przekonać Galiany? Czy może bardziej liczysz na to, że będziesz mógł rozegrać to personalnie?

– Byłem wyłącznie więźniem, nic poza tym. – Clavain skupił się na sterach – Voi powiedziała, że pilotowanie jest zbyt nudne – i odbił od doku cumowniczego Deimosa. Poszli po stycznej do płaszczyzny równikowej, na której uwiązany był księżyc Marsa. Clavain wytyczył przejście w murze rysując palcem trójkąt. Przez chwilę spoglądał w swoje odbicie w szklanym tablecie – twarz znacznie starszą, niż rzeczywiście powinna wyglądać. Siwa broda i włosy nadawały mu wygląd raczej starożytny, niż patriarchalny; obraz człowieka udęczonego okolicznościami. Z niekłamaną ulgą zaciemnił kabinę i spojrzał na zaskakująco szybko malejącego Deimosa – ciemną, kostropatą bryłę, najeżoną elementami uzbrojenia, oplecioną jasnym, połyskującym iluminatorami pierścieniem. Przez dziewięć ostatnich lat Deimos był całym jego światem. Teraz mógł go zasłonić dłonią zaciśniętą w pięść.

– Nie tylko więźniem – powiedziała Voi. – Nikt jeszcze nie wrócił ze Wspólnoty w pełni władz umysłowych. Tymczasem ciebie nawet nie próbowała zainfekować swoimi maszynami.

– Nie, nie próbowała. Ale wyłącznie dlatego, że moment był ku temu niesprzyjający. – Clavain zaczął recytować swój koronny argument, wykładając rzecz tyleż Voi, co i sobie. – Byłem jedynym więźniem, jakiego miała. W momencie, w którym przegrywała wojnę i tak. Jeden rekrut więcej w jej szeregach nie zrobiłby żadnej różnicy. Za to rozmowy nad warunkami zawieszenia broni były w toku i zwolnienie mnie całego i zdrowego mogło zapewnić jej kilka dodatkowych punktów. Było też coś jeszcze. Wspólnoty mieli jakoby być niezdolni do uczuć tak prymitywnych jak miłosierdzie. Uważaliśmy ich bardziej za pająki. To, co zrobiła Gailana podziało na tory naszego myślenia jak żwir sypnięty w tryby. W głównym dowództwie zarysowały się linie podziału. Gdyby mnie wtedy nie zwolniła, już dawno wyparowałaby w radioaktywnym grzybie.

– Czyli nie było w tym nic osobistego?

– Nie – powiedział Clavain. – Absolutnie i z całą pewnością nie.

Voi przytaknęła w sposób wskazujący bez żadnych wątpliwości, że nie wierzy mu ani przez chwilę. Niektóre kobiety doprowadziły to do perfekcji, pomyślał Clavain. Oczywiście, szanował ją bez dwóch zdań. Była jedną z pierwszych istot ludzkich, które, dekady całe temu, po raz pierwszy zetknęły się z oceanem Europy. Teraz powstawały już plany pysznych miast pod

lodem. Inicjatywom tym przewodziła właśnie Voi. Struktury społeczne Demarchistów były podobno nadzwyczaj zrównane i zupełnie niehierarchiczne. Jednak ktoś obdarzony takimi zdolnościami jak Voi po prostu piał się w górę w sposób absolutnie naturalny. Była osobą, która odegrała kluczową rolę w ustalaniu warunków pokoju pomiędzy Wspólnotami, a Koalicją. Właśnie dlatego leciała teraz z Clavainem; Galiana zgodziła się na jego misję tylko pod jednym warunkiem – musi towarzyszyć mu neutralny obserwator. Voi była tu kandydatem więcej, niż idealnym. Nie, nie... szacunek nie stanowił żadnego problemu. Aczkolwiek zaufanie, cóż, tu sprawa miała się już nieco inaczej. Clavain nie do końca potrafił zignorować fakt, że z głową wręcz naszpikowaną implantami Demarchistka okazywała się niepokojąco podobna do wroga.

Podejście do Marsa było ostre i mało przyjemne.

Raz, czy dwa chwyciły ich automatyczne systemy naprowadzania satelitarnej sieci prewencyjnej. Posępne jednostki ofensywne unoszące się na zsynchronizowanej orbicie nad gniazdem na kilka mgnięń oka zafiksowały się na celu, aktywowały się magnetyczne działa, jednak po odebraniu profilu dyplomatycznego prom otrzymał pozwolenie na kontynuację podróży. System Prewentor był nad wyraz efektywny. Clavain zresztą sam zaprojektował większą jego część. Przez piętnaście lat żaden statek nie wkroczył, ani nie opuścił atmosfery Marsa, zaś samego gniazda nie opuścił nawet żaden pojazd naziemny.

– Oto on – powiedział Clavain, kiedy Wielki Mur zaczął rosnąć przed nimi na horyzoncie. Delikatnie załamał mu się przy tym głos i Voi pomyślała nagle, że jej towarzysz darzy tę nieprawdopodobną konstrukcję znacznie silniejszymi uczuciami, niż można by się było po nim spodziewać.

– Nie ma potrzeby zniżać głosu... – Voi próbowała spojrzeć w twarz Clavaina – sama nigdy nie czułam potrzeby jakiegokolwiek personalizacji tej konstrukcji, a przecież sama ją zaprojektowałam. A do tego... nawet jeśli to było kiedyś żywe, teraz już nie jest.

Nawet jeśli miała rację, patrząc na Mur wciąż trudno było nie popaść w zachwyty. Widziany z orbity stanowił bladą, okrągłą plamę na powierzchni planety. Niczym atol koralowy, o średnicy dwóch tysięcy kilometrów, zamykał w sobie swój własny system pogody – dysk nieco bardziej niebieskiego nieba z białymi plamami chmur zatrzymującymi się gwałtownie na krawędzi okręgu.

Swego czasu kilkaset społeczności zamieszkiwało ten obszar cieplej, gęściej, bogatej w tlen atmosfery. Mur był najbardziej brawurowym i rzucającym się w oczy ze wszystkich projektów Voi. Logika pomysłu była niezaprzeczalna: zamiast tracić całe millenia terraformując całą planetę przez bombardowanie powierzchni kometami, czy topienie czap lodowych, Mur pozwalał na skoncentrowanie początkowych wysiłków do stosunkowo niewielkiego obszaru – tysiąca kilometrów średnicy. Ponieważ Mars nie oferował wystarczająco głębokich kraterów Mur był strukturą sztuczną – rozległą, okrągłą tamą atmosferyczną zaprojektowaną tak, aby

mogła postępować powoli na zewnątrz, zamykając w sobie coraz większy obszar, średnio dwadzieścia kilometrów rocznie. Mur musiał być niezwykle wysoki, ponieważ niższe marsjańskie przyciąganie oznaczało, iż do uzyskania podobnego ciśnienia jak na Ziemi potrzebny był wyższy słup atmosfery. Podstawy Muru były grube na kilkaset metrów, ciemne, niczym glacialny lód, sięgające potężnymi korzeniami głęboko w litosferę, z której pobierały surowce niezbędne do rozrostu konstrukcji. Za to dwieście kilometrów wyżej Mur nie był grubszy niż kilka mikronów stanowiąc niemalże niewidoczną membranę, która jedynie od czasu do czasu powodowała drobne zaburzenia optyczne. Ekoinżynierowie zasiedlili wnętrze Muru organizmami ziemskimi, które wcześniej zostały tylko delikatnie zmodyfikowane genetycznie tak, aby mogły bez przeszkód rozwijać się w odmiennych warunkach. Flora i fauna rozkwitły na powierzchni Marsa, chciwymi falami sięgając fundamentów samego Muru.

Ten był jednak martwy.

Mur przestał rosnąć w czasie wojny, trafiony bronią zawierającą wirusa, który poraził systemy replikacyjne konstrukcji. A ze śmiercią Muru zaczął umierać również zawarty w nim ekosystem. Atmosfera zaczęła się ochładzać, tlen uciekał w kosmos, ciśnienie powoli i nieubłagane zaczęło powracać do normalnej, marsjańskiej wartości. Clavain zastanawiał się jak musiało to wszystko wyglądać dla Voi. Czy patrzyła na Mur jak na własne, zamordowane dziecko?

– Przykro mi, że musieliśmy zabić konstrukcję – powiedział. Chciał jeszcze dodać, że był to akt usprawiedliwiony przez działania wojenne, jednak zorientował się, że byłaby to dość żalonna próba usprawiedliwiania się.

– Nie musisz przeproszać – odparła Voi. – To tylko maszyna. Uczciwie muszę przyznać, że jestem i tak zaskoczona, że wytrzymała tak długo. Wciąż powinny istnieć moduły autonaprawcze. Wiesz, my, Demarchiści, budujemy dla przyszłych pokoleń...

I to właśnie martwiło stronę Clavaina. Gdzieniedzie mówiło się o próbach podważenia supremacji Demarchistów w paśmie planet zewnętrznych. Być może nawet o próbie zdobycia dla Koalicji przyczółka na Jowiszu.

Przeskoczyli nad krawędzią Muru i zaczęli przezierać się przez gęstniejące warstwy zamkniętej w jego obszarze atmosfery. Morficzny kadłub promu przyjął teraz kształt grotu strzały. Powierzchnia planety pod nimi wydawała się spłowiała i wyjałowiona. Gdzieniedzie ożywiały ją jedynie plamy ruin modułów mieszkalnych, strzaskane kopuły, porzucone pojazdy naziemne, czy szczątki zestrzelonych promów. Z rzadka widać też było łąty płytkokorzennej, głównie ciemnoczerwonej, skralałej tundry – mchów, arktycznych maków, traw i porostów. Clavain był w stanie rozróżnić każdy z gatunków dzięki odrębnemu obrazowi widma w podczerwieni, jednak większość z nich znajdowała się obecnie w zaawansowanej recesji, głównie z powodu wyginięcia ptaków. Wielkie połacie pokrywał lód, znajdujące się w paru

miejscach zbiorniki wodne istniały głównie dzięki zakopany pod ziemią ogrzewaczom. Jednak wiele rejonów ponownie wzięła w swoje panowanie wieczna zmarzlina.

Mógł to być swego rodzaju raj, pomyślał Clavain, gdyby wojna nie zrujnowała wszystkiego. Jednak to, czego doświadczyć można było na Marsie było jedynie przedsmakiem tego, co mogło wydarzyć się w całym systemie, włączając samą Ziemię, jeśli doszłoby do kolejnego otwartego konfliktu.

– Widzisz już może gniazdo? – spytała Voi.

– Poczekaj chwilę – Clavain przywołał na wyświetlaczu obraz z termalnego skanera. – O, jest. Potężny odczyt. Nie mam nic innego na całe mile wokół. Nic zamieszkanego, w każdym razie.

– Też już widzę.

Gniazdo Wspólnotytów leżało mniej więcej w odległości jednej trzeciej średnicy od krawędzi Muru. Tuż u podnóża Arsia Mons. Cała konstrukcja miała około kilometra średnicy. Otaczał ją wał zaporowy pokryty z jednej strony grubymi zwałami zwietrzliny skalnej. Obszar ograniczony Wielkim Murem był wystarczająco wielki, aby mieć swój własny system pogodowy. Występowały na nim zarówno efekty oddziaływania siły Coriolisa, jak i różnice w naświetleniu wynikające z oddalenia od równika. Umożliwiło to powstanie stałych prądów powietrznych.

Clavain dostrzegał coraz to więcej szczegółów wyłaniających się z mgły. Wygląd gniazda nie był dla niego żadnym zaskoczeniem. Od momentu zawieszenia broni gniazdo było bardzo starannie obserwowane z baz na Deimosie. Phobos ze swą niższą orbitą byłby oczywiście lepszy, ale póki co nie mogło być mowy o jego wykorzystaniu. Co zresztą mogło się okazać pomocne w trakcie negocjacji z Galianą, która czekała gdzieś tam w dole. Clavain, przyglądając się gniazdu, nie wiedział dokładnie gdzie. Dwadzieścia kopuł o różnych rozmiarach mieściło się w obrębie kolistej krawędzi. Połączone były tunelami, lub bezpośrednio ścianami, jak bańki mydlane. A pod nimi znajdowało się kilkadziesiąt poziomów sięgających głęboko pod powierzchnię Marsa. Może nawet głębiej, niż ktokolwiek przypuszczał.

– Jak myślisz, ile osób znajduje się w środku? – spytała Voi.

– Około dziewięciu setek – odparł Clavain. – Tyle mniej więcej udało mi się oszacować podczas mojego pobytu w gnieździe. Do tego jakaś setka zestrzelona podczas prób ucieczki. Reszta... cóż, to już czyste zgadywanie.

– Nasze szacunki nie są rozbieżne. Około tysiąca tutaj, oraz może jakieś trzy, czy cztery setki rozsiane po całym systemie w mniejszych gniazdach. Wiem, że wasza strona uważa, iż mamy znacznie lepszy wywiad, jednak tak naprawdę jedynie wam się tak wydaje.

– Cóż, ja ci wierzę. – Kadłub promu zaczął zmieniać kształt, aby dostosować się do podejścia w gęstszej atmosferze. Pojawiły się nietoperzopodobne skrzydła. – Miałem jedynie

nadzieję, że może wiesz coś, co pozwoliłoby mi zrozumieć, czemu Galiana wciąż marnuje cenne ludzkie istnienia w kolejnych próbach ucieczki.

Voi wzruszyła ramionami.

– Może dla niej te istnienia tak naprawdę nie są aż tak cenne, jak ci się wydaje.

– I ty naprawdę tak myślisz?

– Nie sądzę abyśmy mogli choćby nawet próbować zrozumieć sposób myślenia w społeczności ula. Jest to niemożliwe nawet z punktu widzenia Demarchistów.

Z konsoli dobiegło ich ciche ćwierknięcie. Galiana próbowała się z nimi skontaktować. Clavain otworzył kanał przeznaczony do kontaktów dyplomatycznych pomiędzy Koalicją i Wspólnotami.

– Nevil Clavain? – usłyszał.

– Tak – starał się mówić tak spokojnie, jak tylko był w stanie. – Na pokładzie jest ze mną Sandra Voi. Jesteśmy gotowi lądować jak tylko pokażecie nam gdzie.

– Ok – powiedziała Galiana. – Skieruj prom ku zachodniej ścianie krawędzi. I proszę, bądź ostrożny.

– Dziękuję. Masz na myśli jakiś szczególny powód do ostrożności?

– Po prostu załatw to szybko, Nevil.

Okrażali teraz gniazdo powoli wytracając wysokość do momentu aż do wyniszczonej powierzchni Marsa brakowało im raptem kilkudziesięciu metrów. W betonowej powierzchni wału otworzyły się wielkie prostokątne drzwi odsłaniając rozświetlone wnętrze hangaru.

– Galiana musi wysłać swoje promy właśnie stąd – wyszeptał Clavain. – Zawsze podejrzewaliśmy, że musi istnieć jakiś rodzaj wyjścia po zachodniej stronie, ale nigdy nie mieliśmy okazji się jemu przyjrzeć.

– Co jednak wciąż nie tłumaczy nam, czemu ona to robi – stwierdziła Voi.

Konsola znów zaćwierkała. Połączenie było nad wyraz słabe, nawet pomimo niewielkiej odległości.

– Poderwij nos – poleciła Galiana. – Lecisz za wolno i za nisko. Jeśli nie nabierzesz wysokości robale mogą cię namierzyć.

– Chcesz mi powiedzieć, że tu są robale? – spytał zaskoczony Clavain.

– Myślałam, że to ty tu jesteś ekspertem, Nevil.

Poderwał prom ku górze, jednak o ułamek sekundy za późno. Coś wyskoczyło spod powierzchni gruntu z nieprawdopodobną prędkością. Otworzyły się metalowe szczęki osadzone w opancerzonej głowie. Clavain rozpoznał typ natychmiast – klasa Orobopus. Robale tego typu opanowały kilkaset ośrodków w całym systemie. Nie tak sprytnie jak te, które zajęły Phobosa, jednak i tak niezwykle groźne.

– Szlag! – wymsknęło się Voi. Jej chłodna powierzchowność Demarchistki najwyraźniej nie

była nienaruszalna.

– Rzekłś – odpowiedział Clavain.

Oroborus zniknął pod promem i prawie w tym samym momencie poczuli serię paskudnych wstrząsów, kiedy szczęki robala zaczęły zagłębiać się w jego brzuchu. Ten utracił kurs i zaczął spadać ku powierzchni planety. Nie było już mowy o pilotowaniu. Tor lotu przeszedł w balistyczny. Dotychczasowa relaksująca konfiguracja wnętrza przeszła w barwy ostrzegawcze. Odczyty stanu uszkodzeń konkurowały ze wskazaniami stanu uzbrojenia. Fotele nadeły się wiążąc ich w ochronnych kokonach.

– No, trzymaj się – powiedział Clavain. – Schodzimy.

Voi odzyskała już swój spokój.

– Myślisz, że damy radę dotrzeć na czas do krawędzi?

– Nie ma takiej cholery... – Siłował się ze sterami, ale nie przynosiło to już żadnego skutku. Twarde zbliżało się coraz szybciej. – Szkoda, że Galiana nie ostrzegła nas nieco wcześniej.

– Chyba zakładała, że sami wiemy...

Uderzyli. Gorzej, niż Clavain się spodziewał, jednak prom pozostał w jednym kawałku, a fotele uchroniły ich od najgorszych skutków wstrząsu. Odbili się kilkakrotnie od podłoża, a na koniec zaryli nosem w piaszczystą wydmy. Przez okno Clavain dojrzał pędzącego ku nim robala. Segmentowane cielsko falowało niczym gigantyczny wąż.

– No to jesteśmy ugotowani – powiedziała Voi.

– Nie całkiem. Obawiam się, że nie będziesz zachwycona, ale... – Clavain przygryzając wargę aktywował ukryte systemy obronne. Wizjer celowniczy wyłonił się z sufitu i zatrzymał na wysokości jego wzroku. Clavain naprowadził krzyżyk celownika na ciało robala. Jak za dawnych czasów...

– Niech cię diabli – zachnęła się Voi. – Statek miał być nieuzbrojony!

– Nie krępuj się, możesz złożyć oficjalną skargę...

Clavain strzelił. Siła odrzutu wstrząsnęła całym kadłubem. Przez boczne okno patrzyli jak korpus robota rozpada się na segmenty. Luźne części wciąż podrygiwały w kurzu.

– Niezły strzał – przyznała Voi z delikatną nutką niechęci. – Jest martwy?

– Na razie. Pozbieranie się do kupy i odzyskanie pełnej sprawności zabierze mu przynajmniej kilka godzin.

– Świetnie – Voi wyswobodziła się ze swojego fotela. – Ale nie myśl sobie, że nie wystosuję formalnej skargi.

– Czyżbyś wolała, żeby nas pożarł?

– Po prostu nie znoszę dwulicowości, Clavain.

Spróbował ożywić radio.

– Galiana? Statek to już tylko szmelc, ale my sami wyszliśmy z tego cało.

– Dzięki Bogu! – stare przyzwyczajenia językowe nie dawały się łatwo zapomnieć. Nawet wśród Współwstąpionych. – Nie możecie tam jednak zostać, w pobliżu czai się więcej robali. Myślicie, że dacie radę dostać się po powierzchni do gniazda?

– To tylko dwieście metrów, – powiedziała Voi – nie powinno być problemów.

Dwieście metrów, owszem. Jednak było to dwieście metrów do pokonania po zdradzieckim podłożu, pełnym dziur, nierówności i wystarczającej ilości zagłębień przysypanych miękkim piachem, aby ukryć tuzin robali. A potem zostawała jeszcze kwestia wdrapania się po brzegu krawędzi do drzwi hangaru. Jakies dziesięć, piętnaście metrów ponad poziom gruntu.

– Miejmy nadzieję, że nie – powiedział Clavain.

Wypiął się z pasów i wstał. Ogarnęło go dziwne uczucie lekkości – nie był przyzwyczajony do marsjańskiej grawitacji. Za bardzo przywykł do jednego g w pierścieniu Deimosa, utrzymywanego dla wygody taktyków z Ziemi. Podszedł do wyjścia awaryjnego, sięgnął po maskę, która natychmiast przylgnęła do jego twarzy. Drugą podał Voi. Podłączyli zbiorniki z powietrzem i zbliżyli się do wyjścia. Kiedy drzwi stanęły otworem można było dostrzec połyskującą membranę rozpostartą w ich świetle. Nowe osiągnięcie technologiczne Demarchistów. Clavain przepchnął się przez membranę, która zamknęła się wokół niego z mokrym mlaśnięciem. Jeszcze zanim jego stopy dotknęły pyłu podłoża membrana stwardniała pod podeszwami jego butów i dopasowała się do konturów jego ciała formując w odpowiednich miejscach harmonijkowe przeguby. Clavaina otoczył przezroczysty skafander. Na Voi, która wyszła zaraz za nim, twardniał jej własny m-kostium. Oderwali się od zniszczonego promu i ruszyli w kierunku wału. Gdyby w pobliżu znajdowały się jakiegokolwiek robale, zaczęłyby się naprowadzać na sejsmiczne echo ich kroków już w tym samym momencie. Przez chwilę mogły okazać się bardziej zainteresowane wrakiem promu, jednak nie należało na to liczyć. Clavain znał zachowanie robali od podstaw. Znał ich główne tryby postępowania, jednak w żadnym stopniu nie gwarantowało im to bezpieczeństwa. Już raz ta wiedza nieomal zawiodła go na Phobosie.

Wilgotna maska lepiła mu się do twarzy. Teoretycznie powietrze na poziomie gruntu w obrębie Wielkiego Muru wciąż powinno być zdatne do oddychania, jednak nie było sensu niepotrzeźnie ryzykować, zwłaszcza, kiedy liczyła się szybkość, z jaką się poruszali.

Stopy grzęzły mu w sypkim gruncie i podczas gdy niewątpliwie pokonywał uparcie dystans, ściana wału uparcie nie chciała się przybliżyć. Sam wał wydawał się być znacznie większy, niż z miejsca katastrofy. I bardziej oddalony.

– Kolejny robal – powiedziała Voi.

Białe zwoje sunęły ku nim przez piach od zachodu. Oroborus posuwał się zygzakując ze spokojem drapieźnika pewnego swej ofiary. W tunelach Phobosa nigdy nie mieli tego luksusu, by widzieć, kiedy robal miał uderzyć. Atakowały z zasadzki, szybkie niczym pytony.

– Biegiem – powiedział Clavain.

Ciemne postaci pojawiły się w drzwiach hangaru wysoko ponad biegnącymi. Po ścianie wału rozwinęła się w dół drabinka sznurowa. Clavain obrał na nią zdecydowany kurs. Nie musiał się już przejmować hałasem, jaki robiły jego kroki. Robał i tak już go namierzył.

Obejrzał się za siebie.

Robał zatrzymał się przy rozbitym promie, sprężył, a potem przegryzł się swymi diamentowymi szczękami na wylot. Cofnął się lekko ze statkiem wiszącym mu wokół szyi. Otrząsnął się i kadłub rozleciał się niczym przegniły trup, po czym skierował swą uwagę na Clavaina i Voi. Niczym grzechotnik wyciągnął swoje trzydziestometrowe cielsko z piachu i ruszył ku nim po powierzchni sunąc w węzowych splotach.

Clavain sięgnął początku drabinki.

Swego czasu potrafił się wspiąć po drabinie przy jednym g używając wyłącznie rąk, jednak tym razem drabinka jakby ożyła pod jego stopami. Zaczął się wspinać i nagle zorientował się, że unosi się znacznie szybciej, niż wynikałoby to z mijanych szczebelków. Wspólnotyci wciągali go razem z drabinką.

Obejrzał się w samą porę, aby zobaczyć, jak Voi się potyka.

– Sandra, nie!

Voi udało się podnieść, ale było już i tak za późno. Kiedy robał opadał wprost na nią Clavain nie mógł zrobić nic innego, jak tylko odwrócić wzrok i modlić się o szybką śmierć dla swej towarzyszki. Jeśli ma być poniesiona na próżno, pomyślał, niech chociaż będzie nagła.

A potem pomyślał o swoich własnych szansach na przeżycie. „Szybciej!” krzyknął, jednak maska wytłumiła jego głos. Zapomniał zsynchronizować częstotliwości radia z promu ze skafandrem.

Robał wyrznął w podstawę muru, po czym zaczął się powoli wycofywać. Jego gardziel rozwarła się tuż pod wiszącym Clavainem. Mechaniczna paszcza obramowana diamentowymi zębami jako żywo przypominała tarczę wiertniczą. Nagle błysnęło coś oślepiająco. Wykręcając szyję Clavain dojrzał grupę Wspólnotytów klęczących w drzwiach hangaru i strzelających w dół. Robał wił się poirytowany. Rzuciwszy szybkie spojrzenie wokół Clavain dostrzegł ślady kolejnych robotów zbliżających się tuż pod piaszczystą powierzchnią. Wokół gniazda musiały ich być całe dziesiątki. Nic dziwnego, że ludzie Galiany raczej nie próbowali podejmować naziemnych prób ucieczki.

Tymczasem Clavaina podciągnięto już na jakieś dziesięć metrów od niosącej bezpieczeństwo krawędzi. Trafiony robał stracił kawał ochronnego pancerza. Elektroniczne podzespoły połyskiwały teraz w otartej ranie niczym podskórne tkanki. Rozwścieczony tłukł z impetem o ścianę wału za każdym razem odłupując kawały betonu wielkości solidnych głazów. Każde uderzenie rozchodziło się po ścianie wibracjami, które Clavain czuł wyraźnie.

Robal uderzył po raz kolejny wprawiając ścianę w drganie znacznie silniejsze, niż poprzednio. Z przerzeniem w oczach Clavain dostrzegł jednego ze Wspólnotytów, któremu omsknęła się noga na krawędzi, i który runął w jego stronę. Reszta rozegrała się jak na zwolnionych obrotach. Spadający mężczyzna znalazł się tuż nad Clavainem. Ten, bez namysłu, niemalże wtulił się w ścianę blokując swe kończyny na drabince. Zanim sam się obejrzał, chwycił opadającego za ramię. Nawet pomimo marsjańskiego przyciągania i rachitycznej budowy ciała Wspólnoty impet uderzenia o mało nie posłał ich obu w paszczę Oroborusa. Clavain poczuł, jak kości nieomal wyskakują mu ze stawów, jednak udało mu się utrzymać zarówno wiszącego mężczyznę w jednej, jak i szczebel drabinki w drugiej garści. Wspólnoty oddychali powietrzem u podnóża Muru bez większych problemów. Ten, który spadł na Clavaina ubrany był lekko, w coś wyglądającego jak szara, jedwabna piżama, ściągnięta mocno paskiem. Ze swoimi zapadniętymi policzkami i łysą czaszką Marsjanin wyglądał dość trupio. Mimo wątłej budowy i marnego wyglądu w dalszym ciągu nie wypuścił broni.

– Puść mnie – powiedział.

Poniżej, robal wspinał się powoli coraz wyżej, pomimo zadanych mu przez ostrzał uszkodzeń.

– Nie – powiedział Clavain przez zaciśnięte zęby i tłumiącą głos membranę maski. – Nie ma mowy.

– Nie masz innego wyjścia – głos mężczyzny był opanowany. – Nie zdołają wciągnąć nas obu wystarczająco szybko.

Clavain spojrział w twarz Wspólnoty próbując ocenić jego wiek. Trzydzieści, może trochę mniej, bo trupia powierzchowność z pewnością sprawiała, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Clavain był spokojnie ze dwa razy od niego starszy, wiódł jak dotąd bogatsze życie, zdołał z powodzeniem oszukać śmierć już ze trzy, cztery razy w swoim życiu.

– Jeśli już, to ja powinienem zginąć, nie ty.

– Nie – zaprotestował Wspólnotyta. – Wtedy znajdą sposób, żeby obwinić nas o twoją śmierć. Wykorzystają to jako pretekst do wojny.

Bez dalszych dyskusji mężczyzna uniósł karabin, wycelował sobie pod brodę i dosłownie odstrzelił sobie głowę. Przez zasłonę szoku do świadomości Clavaina przedarł się fakt, że o dalszym ratowaniu czyjegokolwiek życia nie może już być mowy. Rozluźnił uścisk i ciało Wspólnoty zjechało po ścianie wału wprost w paszczę robala, który zabił wcześniej Sandrę Voi. Otępiały Clavain dał się wciągnąć na górę.

Kiedy zatrasnęły się za nim opancerzone wrota hangaru kilku Wspólnotytów spryskało jego

m-kostium enzymami. Rozpylone enzymy strawiły powłokę skafandra w ciągu kilku sekund i za chwilę ciężko oddychający Clavain stał w kałuży mokrego śluzu. Para Wspólnotytów przytrzymała go z obu stron, kiedy niepewnie zachwiał się na wciąż słabych nogach. Czekali cierpliwie, aż przez maskę złapie oddech. Clavain oczami łzawiącymi z wysiłku dostrzegł, że hangar wypełniają na wpół ukończone statki kosmiczne. Od razu widać było, że zaprojektowano je do osiągnięcia bardzo dużych prędkości. Rekinie kształty z pewnością umożliwiały ułatwione przebijanie się przez atmosferę.

– Sandra Voi nie żyje – powiedział zdejmując maskę, aby wygodniej mu było mówić.

Wydawało się absolutną niemożliwością, aby Wspólnotyci nie zauważyli jej śmierci, jednak Clavain pomyślał, że byłoby kompletnie nie na miejscu gdyby nie pokusił się o jakąkolwiek reakcję.

– Wiem – powiedziała Galiana. – Ale przynajmniej ty ocalałeś.

Pomyślał o człowieku, którego także pochłoniął Oroborus.

– Przykro mi z powodu waszego... – urwał. Nawet przy całej swej wiedzy na temat Wspólnotytów nie mógł znaleźć żadnego pasującego określenia.

– Położyłeś na szali swe własne życie, aby go ocalić.

– Wcale nie musiał zginąć.

Galiana przytaknęła z rozwagą.

– Nie. Najprawdopodobniej nie musiał. Jednak ryzyko dotyczące twojej osoby było zbyt wielkie. Słyszałeś, co powiedział. Twoją śmierć obrócono by przeciwko nam. Posłużyłaby jako pretekst do uderzenia na gniazdo. Nawet Demarchiści stanęliby przeciwko nam, gdyby zarzucono nam zabójstwo dyplomaty.

Biorąc kolejny łyk powietrza przez maskę Clavain przyjrzał się twarzy Galiany. Choć komunikowali się za pomocą połączeń wizyjnych dopiero z bliska widać było, że Galiana na dobrą sprawę nie postarzała się przez ostatnich piętnaście lat. Półtorej dekady powinno znacznie pogłębić linie na jej twarzy, jednak Wspólnotyci nie grzeszyli nadmiarem ekspresji. Z powodu panujących w gnieździe warunków Galiana nie miała zbyt wielu okazji do wystawiania twarzy ku słońcu, marsjańska grawitacja również obchodziła się ze skórą o wiele łagodniej, niż 1G Deimosa. To wszystko pozwoliło jej zachować wyraz okrutnego piękna, jaki Clavain zapamiętał jeszcze z okresu swego uwięzienia. Jedynym dowodem upływu czasu były pasemka siwizny w jej włosach. Clavain pamiętał je jako kruczoczarne.

– Czemu nie ostrzegłaś nas o robalach?

– Ostrzec was? – Przez mgnienie oka coś jakby wahanie malowało się na jej twarzy, jednak zniknęło jeszcze szybciej, niż się pojawiło. – Zakładaliśmy, że jesteście w pełni świadomi obecności Oroborusów. Od lat czaiły się w uśpieniu, ale przecież były tam od zawsze. Dopiero, kiedy zauważyłam, jak nisko podchodzicie dotarło do mnie...

– Że może jednak nie wiemy?

Robale były środkami zabezpieczania terenu. Autonomicznymi, naprowadzającymi się na ofiarę minami. Po wojnie wiele zakątków Systemu Słonecznego wciąż pozostawało naszpikowane aktywnymi robalami. Jako maszyny były inteligentne, choć raczej jednokierunkowo. Żadna ze stron nigdy oficjalnie nie przyznała się do ich rozmieszczenia, przez co teraz przekonanie ich o tym, że wojna się skończyła oraz namówienie do deaktywacji okazały się praktycznie niemożliwe.

– Po tym, co przytrafiło ci się na Phobosie byłam absolutnie pewna, że akurat ciebie na temat robali nie trzeba już niczego uczyć.

Nie lubił wracać myślami do Phobosa. Ból wciąż zbyt głęboko żłobił się w pamięci. Jednak gdyby nie właśnie rany odniesione na Phobosie, nigdy nie zostałby wysłany na leczenie i rekonwalescencję na Deimosa, a co za tym idzie nie zostałby wcielony do komórki wywiadowczej jego brata, aby studiować wszelkie dostępne dane na temat Wspólnotytów. I gdyby wtedy nie zagłębił się tak kompletnie we wszystko, co dotyczyło przeciwnika, nigdy nie zaangażowałby się w negocjacje pokojowe a teraz – jako dyplomata – nie stałby przed Galianą w obliczu nowego konfliktu. Wszystko się jakoś zazębiało i łączyło w ciąg przyczynowo-skutkowy. Nawet od Phobosa tak naprawdę nie mógł uciec myślami, bo stanowił on podstawę jego planu do wyjścia z impasu, ostatnią szansę na pokój. Było jednak zbyt wcześnie, aby o czymkolwiek wspominać Galianie. Po tym, co się stało Clavain wątpił, czy jego misja w dalszym ciągu ma jeszcze jakiś sens.

– Jesteśmy tu bezpieczni, jak zakładam?

– Owszem. Uszkodzenia wału jesteśmy w stanie naprawić. W gruncie rzeczy tutaj możemy ignorować ich obecność.

– Powinniśmy byli zostać uprzedzeni. Posłuchaj, muszę porozmawiać z bratem.

– Z Warrenem? Ależ oczywiście, nie widzę żadnego problemu.

Opuścili hangar zostawiając za sobą budowane promy. Clavain wiedział, że gdzieś w głębi gniazda znajdują się fabryki produkujące komponenty i podzespoły z minerałów wydobytych spod powierzchni Marsa oraz ze wszystkiego, co dało się wykorzystać z oryginalnej konstrukcji gniazda. Wspólnotyci byli w stanie wystrzelić prom raz na mniej więcej sześć tygodni. Próby te prowadzili od dobrego pół roku. Ani jeden z nich nie zdołał opuścić marsjańskiej atmosfery zanim został zestrzelony. Prędzej, czy później będzie musiał zapytać Galianę, czemu miały służyć te uparte prowokacje. Nie był to jednak najlepszy moment. Nawet, jeśli, zgodnie z obliczeniami Warrena, do następnej próby zostały już tylko trzy dni.

W pozostałych częściach gniazda powietrze było gęściejsze i cieplejsze, niż w hangarze, co oznaczało, że Clavain mógł się wreszcie całkowicie rozstać z maską. Galiana poprowadziła go w dół szarego korytarza o metalicznych ścianach aż dotarli do okrągłego pomieszczenia,

w którym stała jedynie konsola. Rozpoznał pomieszczenie, z którego Galiana prowadziła z nim rozmowy, kiedy on znajdował się wciąż jeszcze na Deimosie. Teraz pokazała mu jak obsługiwać system i zostawiła go samego, najwyraźniej szanując prywatność połączenia.

Na ekranie pojawiła się twarz Warrena, poskładana z grubych pikseli, niczym obraz impresjonisty. Połączenia Wspólnotytów były ograniczone do kilobajtów na sekundę, z których większość w tej chwili pożerała rozmowa Clavaina z bratem.

– Słyszałeś wszystko, jak zakładam – powiedział Clavain.

Warren skinął głową. Twarz miał poszarzałą.

– Mieliśmy całkiem dobry podgląd z orbity. Wystarczająco dobry, by zobaczyć, że Voi się nie udało. Biedna kobieta. Mieliśmy też prawie całkowitą pewność, że tobie nic się nie stało, jednak miło, że jesteś w stanie to osobiście potwierdzić.

– Czy chcesz, żebym przerwał misję?

Zawahanie Warrena trwało dłużej, niż gdyby miała to być tylko dramatyczna pauza.

– Nie... Oczywiście, dokładnie to przemyślałem i główne dowództwo całkowicie się ze mną zgadza. Naturalnie, śmierć Voi to tragiczny wypadek – co do tego nie ma wątpliwości. Jednak jej rola i tak ograniczała się tylko do neutralnej obserwacji. Jeśli Galiana zgodzi się na twój dalszy pobyt, sugeruję, abyś tak właśnie postąpił.

– Jednak wciąż uważasz, że mam tylko trzy dni?

– Tu już zależy od Galiany, nie sądzisz? Dużo się dowiedziałeś?

– Chyba żartujesz. Widziałem parę promów przygotowywanych do startu, to wszystko. Nie podnosiłem jeszcze propozycji Phobosa, czas nie był odpowiedni po tym, co spotkało Voi.

– No, owszem. Gdybyśmy tylko wiedzieli o obecności Oroborosów.

Clavain nachylił się bliżej ekranu.

– No właśnie. I jak to się, do cholery, stało, że nie wiedzieliśmy? Galiana zakładała, że wiemy i jakoś mnie to założenie nie dziwi. Od piętnastu lat mieliśmy gniazdo pod obserwacją, powinniśmy coś zauważyć, nie sądzisz?

– Wydawałoby się oczywiste, czyż nie?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że może robale nie znajdowały się tam przez cały czas...

W pełni świadom tego, że połączenie może nie być wcale tak prywatne, jednak nie chcąc tracić śladu Clavain spytał:

– Uważasz, że umieścili je tam Wspólnotyci, aby przygotować na nas zasadzkę?

– Uważam, że nie powinniśmy odrzucać żadnej ewentualności, choćby najbardziej niepożądaney.

– Galiana nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

– Nie, nie zrobiłabym – powiedziała Galiana wkraczając ponownie do pomieszczenia. –

I jestem niezwykle rozczarowana, że w ogóle omawiacie taką możliwość.

Clavain natychmiast przerwał połączenie.

– Podsluchiwanie to bardzo nieładny zwyczaj.

– A niby co miałam zrobić?

– Może okazać odrobinę zaufania? Czy może proszę o zbyt wiele?

– Nigdy nie musiałam ci ufać, kiedy byłeś moim więźniem. To czyniło nasz związek dalece prostszym. Role były sztywno ustalone.

– A teraz? Skoro tak bardzo mi nie ufasz, to czemu w ogóle zgodziłaś się na moje przybycie? Całe mnóstwo innych specjalistów mogło tu przybyć zamiast mnie. Mogłaś zresztą odmówić jakiegokolwiek dialogu.

– Na twoją kandydaturę nalegali ludzie Voi. Tak samo jak naciskali na opóźnienie działań wojennych z waszej strony.

– Tylko tyle?

Tym razem chwilę się zawahała.

– Cóż... ciebie już widziałam.

– „Widziałam”? Tak podsumowujesz rok mojej niewoli? Tysiące rozmów, jakie przeprowadziliśmy? Wszystkie te chwile, kiedy odkładaliśmy na bok wszystkie dzielące nas różnice i rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o tej pieprzonej wojnie? Dzięki tobie nie postradałem zmysłów. I nigdy ci tego nie zapomniałem. To właśnie dlatego teraz ryzykowałem życie, aby tu dotrzeć i wyperswadować ci kolejną prowokację.

– Teraz wszystko jest zupełnie inaczej...

– Oczywiście! – Clavain zdusił podnoszący się z emocji głos. – Ale przecież nie całkowicie. Wciąż jeszcze możemy coś zbudować na tych podstawach zaufania i znaleźć wyjście z kryzysu.

– Tylko czy twoja strona naprawdę pragnie z niego wyjść?

Nie odpowiedział od razu świadom tego, jaka może być prawda.

– Nie mogę mieć pewności. Tak samo jak nie mogę mieć pewności, że chciałabyś ty. Nie, widząc jak wciąż igrasz z ogniem, próbując ucieczki. – Coś się w nim przełamało, kiedy to powiedział. Teraz mógł już tylko brnąć dalej, choć jeszcze przed chwilą znał milion lepszych sposobów na zadanie swego pytania.

– Galiana, czemu wciąż to robisz? Czemu wciąż wysyłasz statki, skoro doskonale wiesz, że zostaną zestrzelone, jak tylko opuszczą gniazdo?

Spojrzała mu prosto w oczy i przeciągnęła twardo spojrzenie.

– Bo mogę. Bo prędzej, czy później, któremuś się uda.

Clavain pokiwał smutno głową. Najbardziej obawiał się, że właśnie taką odpowiedź może usłyszeć.

Poprowadziła go dalej szarymi korytarzami opadającymi kilka kolejnych kondygnacji w głąb gniazda. Światło emanowało z wijących się węzowo wstęg wrośniętych w ściany niczym arterie. Możliwe, że ich falujące linie miały mieć funkcję dekoracyjną, jednak Clavain uważał za znacznie bardziej prawdopodobne, że zwyczajnie same tak wrosły wyrażając jakiś skomplikowany algorytm biologiczny. Wspólnotyci nie robili nic, aby w jakikolwiek sposób ożywić przestrzeń wokół siebie, aby tchnąć w swe otoczenie choć odrobinę serca.

– Narażasz się na olbrzymie ryzyko – powiedział Clavain.

– Jednak status quo jest dla nas nie do przyjęcia. Z całego serca wolałabym uniknąć kolejnej wojny, ale, jeśli pojawi się choć cień szansy, zrobimy wszystko, aby zrzucić te okowy.

– O ile wcześniej nie zostaniecie zgładzeni...

– Tego udałoby nam się uniknąć. Strach, w żadnym stopniu, nie motywuje nas do działania. Tam, na wale widziałeś człowieka, który zaakceptował swój los, kiedy zrozumiał, że twoja śmierć może zaszkodzić nam dalece bardziej, niż jego własna. Cały swój stan umysłu zawęził wyłącznie do tej akceptacji.

– Och, świetnie. A zatem nie ma problemu.

Stanąła gwałtownie. Byli sami w jednym z węzowo oświetlonych korytarzy – Clavain nie widział żadnego innego Wspólnotyty odkąd opuścili hangar.

– To wcale nie jest tak, że nie cenimy utraconych indywidualnych istnień, że poświęcamy je z mniejszym żalem, niż ty poświęciłbyś kończynę. Jednak teraz, kiedy stoimy u progu czegoś znacznie większego...

– Masz na myśli Transoświecenie?

W ten sposób Wspólnotyci nazywali stan neuralnego zjednoczenia, jakim byli połączeni, uzyskanego dzięki nanomaszynom rojącym się w ich głowach. Podczas gdy Demarchiści korzystali z implantów w celu uzyskania demokracji jednoczesnych głosów, Wspólnotyci używali ich, by dzielić wrażenia zmysłowe, wspomnienia, a wreszcie i samą świadomość. To właśnie stało się podłożem konfliktu. W roku 2190 połowa ludzkości podłączona była do sieci poprzez implanty neuralne. Potem eksperymenty Wspólnotytów doprowadziły do przełamania zabezpieczeń i uwolnienia mutującego wirusa prosto w sieć. Implanty zaczęły się zmieniać infekując miliony umysłów wspólnotyckimi matrycami. Zainfekowani natychmiast stali się wrogiem. Ziemia i pozostałe planety wewnętrzne zawsze były nieco bardziej konserwatywne i łączyły się z siecią tradycyjnymi sposobami. Widząc jak społeczności Marsa i pasa asteroid padają ofiarą fenomenu Wspólnotytów siły Koalicji zostały natychmiast powołane w stan gotowości, aby zapobiec infekcji na jej własnym terenie. Demarchiści wokół gazowych olbrzymów zdołali podnieść potężne firewalle, zanim wirus zdołał ich osiągnąć. Zdecydowali

się zachować neutralność, podczas gdy Koalicja próbowała powstrzymać, czy jak niektórzy mówili – wysterylizować wspólnotycką epidemię. W ciągu trzech lat – i znacząc ślad najkrwawszymi starciami w historii ludzkości – Wspólnoty zostały zepchnięci do zapadłych kryjówek w najróżniejszych zakamarkach systemu. I przez cały czas nie opuszczało ich swoiste, pełne niezrozumienia zaskoczenie, że napotkali na jakikolwiek opór. W końcu, trudno było znaleźć kogokolwiek, kto został zasymilowany i tego żałował. Wręcz przeciwnie. Tych kilku jeńców, których Wspólnoty przywrócili do ich stanu przedinfekcyjnego nie szczędziło żadnych wysiłków, aby przyłączyć się do wspólnoty na nowo. Niektórzy wręcz woleli popełnić samobójstwo, niż żyć spędzić resztę życia poza Transoświeceniem. Byli jak akolici, którym ukazano skrawek raj, i którzy poświęcili całe swe istnienie, aby móc ujrzeć go ponownie.

– Transoświecenie zaciera granice własnej odrębności – powiedziała Galiana. – Kiedy ten człowiek umarł, jego poświęcenie nie było całkowite. Rozumiał, że to, czym był w większej części zostało już utrwalone w naszej wspólnej świadomości.

– W porządku, to jeden człowiek. Ale co z setkami, które wysłałaś na pewną śmierć w próbach ucieczki? Wiem, o czym mówię, liczyliśmy ciała.

– Uzupełnienia zawsze można wyklonować.

Clavain miał nadzieję, że udało mu się ukryć wyraz obrzydzenia. Dla jego ludzi nawet sama wzmianka o klonowaniu budziła grozę i przerażenie. Dla Galiany jednak byłby to kolejny element arsenału jej środków.

– Ale wy przecież nie klonujecie, prawda? Poza tym wciąż tracicie ludzi. Szacowaliśmy, że będzie was tu, w gnieździe, około dziewięciu setek, jednak jest to liczba znacznie przesadzona, czyż nie?

– Jeszcze nie widziałeś wszystkiego. – odparła Galiana.

– Nie, ale to miejsce wręcz pachnie jak opuszczone. Nie możesz ukryć wyludnienia. Założę się, że nie zostało was więcej, niż setka.

– Mylisz się. Mamy technologię klonowania, jednak praktycznie z niej nie korzystamy, bo i po co? Nie dążymy do jedności genetycznej, cokolwiek twierdzi na ten temat wasza propaganda. Pościg za rozwiązaniami absolutnie optymalnymi prowadzi do zawężenia. My szanujemy własne błędy i niedoskonałości. Aktywnie poszukujemy stałego braku równowagi.

– Dobra – ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował, była końska dawka wspólnotyckiej retoryki. – W takim razie, gdzie są wszyscy?

Chwilę później poznał część odpowiedzi, jeśli nawet nie całą. Poprzez labirynt korytarzy, teraz głęboko pod powierzchnią Marsa, Galiana zaprowadziła go do żłobka.

Obraz przed jego oczami wręcz szokująco rozmijał się z wypracowanymi na Deimosie wyobrażeniami. Clavain przypuszczał do tej pory, że żłobek Wspólnotytów musi być ponurym miejscem wypełnionym medyczną maszyną i podłączonymi do niej dziećmi, niczym

w gigantycznej fabryce biologicznych lalek. Kiedy znalazł się już w gnieździe, zweryfikował swoje wyobrażenie, głównie co do produktywności. Znacznie mniej dzieci, jednak wciąż przed oczami miał połyskującą nieludzko w wężowym blasku maszynię.

Żłobek okazał się być czymś kompletnie innym w każdym calu.

Olbrzymie pomieszczenie, które pokazała mu Galiana, było do bólu niemalże rozświetlone i tak samo radosne. Dziecięcy raj przyjaznych kształtów i kolorów. Ściany i sufit wyświetlały holograficzny obraz nieba – nieskończony błękit połączony z miękką bielą obłoków. Podłogę stanowiła sprężysta mata sztucznej trawy układającej się w niewielkie polanki. Były też połączenia kwiatów i drzewek bonsai. Były automatyczne zwierzęta – precudne ptaki i króliki, odrobinę jednak zbyt antropomorficzne, aby nabrać Clavaina. Wyglądały jak wszystkie te zwierzęta z książeczek dla dzieci – wielkookie i przepełnione szczęściem. Wśród trawy porozrzucone były zabawki.

A przede wszystkim były dzieci. Prawdopodobnie około czterdziestu, pięćdziesięciu w wieku od zaledwie kilku miesięcy do jakichś sześciu, siedmiu standardowych lat. Niektóre raczkowały pomiędzy królikami, inne, starsze, siedziały zgromadzone wokół pni drzew, których gładka powierzchnia mrugała szybkimi, zmieniającymi się obrazami. Niektóre rozmawiały, niektóre chichotały, inne śpiewały piosenki. Clavain naliczył około tuzina dorosłych Wspólnotytów chodzących wśród dzieci. Kolory i wzory dziecięcych ubrań przyprawiały o ból głowy. Dorośli kroczyli wśród nich niczym olbrzymie kruki. Mimo różnic dzieci czuły się w ich obecności swobodnie, słuchając z uwagą za każdym razem, kiedy dorośli mieli im coś do powiedzenia.

– Nie jest to coś, czego się spodziewałeś, prawda?

– Nie... Zupełnie nie. – Wydawało się, że próby kłamstwa nie mają większego sensu. – Myśleliśmy, że hodujecie swoje dzieci w otoczeniu generowanego przez maszyny uproszczonej wersji waszego wewnętrznego środowiska.

– W początkowych latach mniej więcej to próbowaliśmy robić. – Ton głosu Galiany zmienił się subtelnie. – Czy wiesz, dlaczego szympanasy są mniej inteligentne od ludzi?

Zamrugnął zdziwiony niespodziewaną zmianą tematu.

– Bo ja wiem? Bo mają mniejsze mózgi?

– Mają, choć na przykład mózg delfina jest większy, a mimo to delfin jest ledwie odrobinę inteligentniejszy od psa. – Galiana nachyliła się nad wolnym pniem. Nie uczyniwszy żadnego widocznego gestu przywołała obraz mózgu ssaka i zaczęła palcem wskazywać odpowiednie jego fragmenty.

– Całościowa objętość mózgu nie liczy się aż tak bardzo, jak historia jego rozwoju. Różnica w pojemności mózgu szympansa w okresie prenatalnym i dorosłego wynosi raptem około dwudziestu procent. Zanim szympanas zacznie przyjmować jakiegokolwiek bodźce zewnętrzne już

po opuszczeniu macicy, pozostaje naprawdę niewiele wolnego miejsca do zapisu. Podobnie delfiny. Kiedy ich młode się rodzą, praktycznie cały repertuar dorosłych zachowań mają już na stałe wpisany w mózgi. Z drugiej strony, mózg ludzki rozwija się wraz z postępującym procesem nauki. Spróbowaliśmy odwrócić tok rozumowania. Jeśli więc dane napływające do mózgu już po urodzeniu miały być tak szlalenie znaczące dla inteligencji, być może moglibyśmy znacznie przyspieszyć jej rozwój interweniując w najwcześniejszym okresie rozwoju mózgu.

– W łonie matki?

– Tak. – Teraz przywołała schemat rozwoju płodu ludzkiego rozpoczynający się od pierwotnego podziału komórkowego, aż do formowania się ledwie widocznego układu nerwowego z maluteńkim zaczątkiem mózgu. Roje nanobotów zaczęły kłębić się wokół, a następnie wnikać w neurony. Potem rozwój zarodka znacznie przyspieszył do momentu, kiedy przed oczami Clavaina pojawiło się w pełni uformowane, nienarodzone jeszcze dziecko.

– Co się stało?

– Był to fatalny błąd. Zamiast wspomóc normalny rozwój neuralny, poważnie go uszkodziliśmy. Jedyne, co nam z tego wyszło, to przypadki nadzwyczajnej zdolności przyswajania wiedzy.

Clavain rozejrzył się wokół.

– A więc pozwoliliście tym dzieciom rozwijać się normalnie?

– Mniej więcej. Co prawda nie wprowadziliśmy tu struktury rodzinnej, ale nawet w niektórych naturalnych społeczeństwach przynależność rodzinna odgrywa w rozwoju dziecka znacznie mniejszą rolę, niż przynależność do „stada”. Jak dotąd nie odnotowaliśmy żadnych patologii.

Clavain przyglądał się, jak jedno z dzieci było właśnie eskortowane z trawiastego pomieszczenia przez wyjście w niebie. Kiedy Wspólnotyta osiągnął włącz dziecko zaważało się nieznacznie, opierając się niezdecydowanie jego delikatnym ponagleniom. Dziecko obejrzało się za siebie na chwilę, potem jednak podążyło posłusznie za prowadzącym je mężczyzną.

– Gdzie to dziecko zostało zabrane?

– Ku następnemu etapowi rozwoju.

Clavain zastanawiał się, jakie były jego szanse na to, że przypadkowo będzie świadkiem tego, jak jedno z dzieci zostanie przeniesione na następny poziom. Oceniał, że niewielkie, chyba, że właśnie wprowadzono program awaryjny, w ramach którego przenoszono dalej tyle dzieci, ile tylko było to możliwe. Kiedy się nad tym zastanawiał Galiana poprowadziła go do kolejnej części żłobka. O ile kolejne pomieszczenie było mniejsze i znacznie surowsze w wystroju, wciąż jednak było znacznie bardziej kolorowe, niż wszystko, co Clavain w gnieździe widział przed wejściem do trawiastej części żłobka. Ściany stanowiły mozaikę stłoczonych, przemieszanych wyświetlaczy wypełnionych ruchomymi obrazami i przewijanymi tekstami. Dostrzegł stado

zebr galopujących poprzez jądro gwiazdy neutronowej. Na innym kałamarnica strzyknęła atramentem prosto w twarz jakiegoś dwudziestowiecznego despoty. Inne ekrany wyrastały wprost z podłogi, niczym japońskie papierowe lampiony. Przez te również przelewały się strumienie danych. Dzieci – tu już dorastające kilkunastu lat – siedziały na miękkich, czarnych stołkach zgrupowane wokół monitorów dyskutując. Wkoło leżały nieużywane instrumenty muzyczne – holowisze i gitary powietrzne. Niektóre z dzieci z szarymi opaskami na oczach wtykały swe palce do wnętrza abstrakcyjnych struktur odkrywając zamieszkane przez smoki głębokie wody przestrzeni matematycznych. Clavain mógł dostrzec, nad czym tak zawzięcie pracowały na płaskich ekranach. Widniejące na nich kształty przyprawiały go o ból głowy nawet widziane w tylko dwóch wymiarach.

– Niewiele im już brakuje – powiedział. – Maszyny wciąż jeszcze znajdują się poza ich głowami, ale nie potrwa to już długo. Kiedy to nastąpi?

– Wkrótce. Naprawdę niedługo.

– Popędzasz ich. Starasz się mieć tak wiele nowych współwstąpionych, jak tylko dasz radę, nie myślę się? O co tu chodzi? Co planujesz?

– Coś się... pojawiło. Czas twojego przybycia jest nadzwyczaj niefortunny, bądź wręcz przeciwnie, zależy jak na to spojrzeć – i zanim zdążył o cokolwiek spytać dodała – Clavain, chciałbym, abyś kogoś poznał.

– Kogo?

– Kogoś bardzo dla nas ważnego.

Przeprowadziła go przez kilkoro zabezpieczonych przed dziećmi drzwi, aż znaleźli się w niewielkim, okrągłym pomieszczeniu. Pośrodku, siedziała po turecku samotna dziewczynka. Clavain przypuszczał, że mogła mieć około dziesięciu standardowych lat, możliwe, że w rzeczywistości była odrobinę starsza. Nie zareagowała jednak na jego obecność ani w sposób, w jaki zareagowałyby dorośli, ani dziecko. Zdawała się wręcz nie zauważać czyjejkolwiek obecności. Po prostu siedziała tam i nieprzerwanie robiła to samo, czym zajmowała się, kiedy weszli do pomieszczenia. Przy czym trudno było tak naprawdę określić, czym się zajmowała. Poruszała przed sobą rękoma w powolnych, precyzyjnych gestach. Wyglądało to trochę, jakby grała na holowiszach, albo reżyserowała przedstawienie niewidzialnych kukiełek. Co chwilę obracała się w miejscu, wciąż beznamiętnie wpatrując się przed siebie, po czym jej ręce kontynuowały przedziwną gestykulację.

– Na imię ma Felka – powiedziała Galiana.

– Cześć, Felka... – Czekał na jakąś reakcję aż stało się jasne, że żadna nie nadejdzie. – Jak widzę nie wszystko jest z nią w porządku.

– Jeden z przypadków nadzwyczajnych. Felka rozwijała się z maszynami w jej głowie. Była ostatnim z urodzonych dzieci, zanim zrozumieliśmy naszą porażkę.

Coś w związku z dziewczynką wydawało się niepokojące. Prawdopodobnie coś w tym, jak beznamiętnie oddawała się swojemu zajęciu. Wydawało się ono pozbawione wszelkiego sensu, jednak było w nim coś znaczącego, jakby dla Felki świat opierał się wyłącznie na tym, co robiła.

– Sprawia wrażenie, jakby nie zdawała sobie sprawy z naszej obecności.

– Jej ograniczenia są bardzo poważne – zaczęła wyjaśniać Galiana. – Zupełnie nie interesują jej inne istoty ludzkie. Cierpi na prosopagnosję, niezdolność do rozróżniania ludzkich twarzy. Wszyscy wydajemy się jej identyczni. Potrafisz sobie wyobrazić coś równie dziwnego?

Clavain próbował, ale po chwili zrezygnował. Życie z punktu widzenia Felki musiało być koszmarem – być otoczonym przez identyczne klony, których poszczególne życia nie miały dla niej nawet cienia znaczenia. Nic dziwnego, że wydawała się tak głęboko zatopiona w swojej dziwacznej zabawie.

– Czemu jest dla was tak ważna? – spytał Clavain czując, że chyba wolałby nie znać odpowiedzi.

– Utrzymuje nas przy życiu – odpowiedziała Galiana.

Oczywiście natychmiast spytał Galianę, co przez to rozumie. Odpowiedziała mu, że póki co, nie jest jeszcze gotów, aby poznać odpowiedź.

– Więc co dokładnie powstrzymuje mnie przed osiągnięciem gotowości?

– Prosta procedura.

Oczywiście, ten fragment rozumiał bez dodatkowych wyjaśnień. Zaledwie kilka nanobotów w odpowiednich obszarach jego mózgu i prawda mogła być całą jego. Grzecznie, starając się z całych sił ukryć jak bardzo jest propozycją zde gustowany, Clavain odmówił. Na szczęście, Galiana nie naciskała, tym bardziej, że nadszedł czas spotkania, które miał zagwarantowane jeszcze przed przybyciem na Marsa. Obserwował przybycie głównych postaci gniazda do sali konferencyjnej. Galiana była tu przywódcą tylko o tyle, o ile to właśnie ona założyła laboratorium, z którego rozprzestrzenił się wirus, a dodatkowo należał jej się szacunek z racji starszeństwa. Była też najbardziej oczywistym reprezentantem Wspólnotytów na zewnątrz gniazda. Każde z nich miało dość wąską dziedzinę specjalizacji, która najwyraźniej nie podlegała całkowitemu podziałowi wśród pozostałych współwstąpiionych. Nie mieli więc nic wspólnego ze świadomością ula identycznych klonów, jak wciąż opisywała ich propaganda Koalicji. Jeśli gniazdo w jakikolwiek sposób przypominało mrowisko, to było to raczej niezwykle mrowisko, w którym każda mrówka miała przypisaną odrębną, sobie tylko właściwą rolę. Oczywiście, żadna z jednostek nie była specyficzna na tyle, aby być jedyną posiadającą jakieś kluczowe dla gniazda zdolności, czy umiejętności – prowadziłyby to do niebezpiecznej

hiperspecjalizacji – jednak indywidualność i oryginalność nie znikły całkowicie w jednolitej rzekomo masie kolektywnej świadomości.

Sala konferencyjna musiała pochodzić z czasów, kiedy gniazdo było jeszcze placówką badawczą, a może o jeszcze dawniejszych, gdy znajdowała się tu wyłącznie baza górnicza we wczesnych latach 2100-nych. Była stanowczo zbyt wielka dla garstki Wspólnotytów zebranych wokół głównego stołu. Odczyty taktyczne wokół niego ukazywały gromadzące się siły uderzeniowe nad marsjańską strefą zamkniętą. Clavain dostrzegł przewidywane trajektorie jednostek desantowych.

– Nevil Clavain – powiedziała Galiana przedstawiając go pozostałym. Wszyscy usiedli. – Chciałam zaznaczyć, jak bardzo żałuję, że Sandra Voi nie może zasiąść tu z nami. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci jej śmiercią. Być może jednak, dzięki jej śmierci, uda nam się uzyskać jakiś wspólny przyczółek do rozmów. Nevil, zanim do nas przybyłeś, mówiłeś, że możesz mieć dla nas propozycję pokojowego rozwiązania tego kryzysu.

– Naprawdę chciałbym to usłyszeć – wymruczał pod nosem jeden z zebranych na granicy słyszalności.

Clavainowi zaschło w gardle. Jego dyplomatyczna misja wchodziła właśnie na bardzo grząski grunt.

– Moja propozycja dotyczy Phobosa...

– Mów dalej.

– Odniosłem tam rany – kontynuował. – Bardzo poważne. Nasze próby oczyszczenia terenu z robali zawiodły, straciłem wielu bliskich przyjaciół. Dla mnie sprawa ma więc wymiar osobisty. I jeśli chodzi o robale, zaakceptuję każdą pomoc, aby się ich pozbyć.

Galiana przebiegła szybko spojrzeniem po twarzach zebranych, zanim zdecydowała się odpowiedzieć.

– Połączona operacja ofensywna?

– To by się mogło powieść.

– Tak... – Galiana na chwilę jakby błędziła myślami gdzie indziej – Przypuszczam, że mogłoby to być jakieś wyjście z impasu. Nasza próba również się nie powiodła, a kolejnych nie mogliśmy przeprowadzić z powodu nałożonej blokady. – Znowu sprawiała wrażenie, jakby poddawała się wspomnieniom.

– No dobrze, ale kto w takim razie odniesie korzyści z oczyszczenia Phobosa? My tutaj i tak przecież będziemy dalej objęci kwarantanną.

Clavain pochylił się nad stołem.

– Taki gest współpracy mógłby być dokładnie tym, co może prowadzić do rozluźnienia warunków blokady. Jednak nie myślcie o tym w takich kategoriach. Bierzcie raczej pod uwagę oddalenie obecnego zagrożenia ze strony robali.

– Zagrożenia?

Clavain przytaknął.

– Możliwe, że nie udało wam się tego zaobserwować – pochylił się jeszcze bardziej opierając na stole łokcie – ale niepokoi nas aktywność robali na Phobosie. Udało im się doprowadzić do zmiany jego orbity. Odchylenie jest na razie niewielkie, jednak stanowczo zbyt wielkie, aby uznać je za powstałe w sposób naturalny.

Galiana odwróciła od niego wzrok i zamyśliła się jakby rozważała dostępne jej opcje.

– Owszem, zauważyliśmy to sami, jednak nie sądziłam, że i wy zwróciliście na to uwagę.

Wdzięczność?

Sam zakładał, że działania robali nie umknęły uwadze Galiany.

– Widzieliśmy już dziwne zachowania z ich strony w innych ośrodkach w całym systemie. Działalność sprawiająca wrażenie wzrastającej inteligencji. Jednak nigdy do tej pory nie było to działanie zakrojone na aż taką skalę. To zasiedlenie musiała stworzyć seria z subkodami, z którymi nie mieliśmy dotąd do czynienia. Czy macie jakąkolwiek koncepcję co do ich zamiarów?

I znowu, Clavain dostrzegł coś jak cień zawahania, zupełnie jakby Galiana bezgłośnie komunikowała się z resztą zebranych uzgadniając odpowiedź, po czym skinęła głową ku Wspólnotycie siedzącemu naprzeciw niej. Clavain zrozumiał, że był to gest przeznaczony dla niego. Wskazany miał czarne, kręcone włosy, a jego twarz miała ten sam spokojny i niezmacony wyraz, co twarz Galiany. Było też coś wspólnego w symetrycznej budowie ich twarzy.

– To jest Remontoire. Nasz specjalista od Phobosa.

Remontoire uprzejmie skinął głową.

– Odpowiadając na twoje pytanie, w obecnej chwili nie dysponujemy żadną teorią dotyczącą planów robali, wiemy natomiast jedną rzecz. Mianowicie, zwiększają apocentrum orbity księżyca.

Apocentrum, jak Clavain dobrze wiedział, w warunkach marsjańskich było odpowiednikiem ziemskiego apogeum, czyli punktu, w którym orbitujący obiekt znajdował się najbliżej powierzchni planety. Remontoire kontynuował głosem spokojnym i monotonnym niczym dorosły czytający dziecku do snu. – Naturalna orbita Phobosa na dobrą sprawę znajduje się wewnątrz limitu Roche'a dla tego księżyca. Phobos powoduje pływowe wybrzuszenie na powierzchni Marsa, jednak ze względu na tarcie wybrzuszenie to nie nadąża za ruchem satelity. To z kolei powoduje spiralne ściąganie Phobosa ku powierzchni, nie za szybkie, jakieś dwa metry na sto lat, ale jednak... Za kilkadziesiąt milionów lat to, co zostanie z księżyca spadnie na powierzchnię Marsa.

– I sądzą, że robale podnoszą orbitę, aby uniknąć kataklizmu tak bardzo oddalonego w czasie?

– Nie mam pojęcia – odparł Rementoire. – Przypuszczam, że zmiany w orbicie mogą być również efektem ubocznym jakiejś znacznie mniej znaczącej działalności robali.

– Zgoda. Niemniej zagrożenie istnieje. Jeśli robale dysponują środkami do podniesienia apocentrum Phobosa – choćby i nieumyślnie – należy również założyć, że byłyby zdolne do obniżenia perycentrum. W ten sposób mogłyby dosłownie zrzucić Phodosa wprost na wasze gniazdo. Czy taka perspektywa nie wydaje wam się wystarczająco groźna, aby przemyśleć możliwość wspólnej operacji z Koalicją?

Galiana splotła palce na wysokości twarzy – ludzki odruch wskazujący na głęboki namysł, odruch, którego lata współwstąpienia nie zdołały całkiem wykorzenić. Clavain mógł niemalże poczuć splątana sieć myśli krążących w pomieszczeniu. Widmowe sploty porozumienia, które nie tylko łączyły umysły Wspólnotytów siedzących przy stole, ale prawdopodobnie sięgały również daleko w głąb gniazda.

– Wspólne zwycięstwo... To masz na myśli?

– To chyba lepsze, niż wojna – odparł Clavain. – Nie sądzicie?

Galiana już już miała mu odpowiedzieć, kiedy przez twarz przebiegł jej wyraz widocznego zatroskania. Clavain spostrzegł falę niepokoju malującą się niemal równocześnie na twarzach wszystkich zebranych. Coś mu przy tym mówiło, iż nie miało to żadnego związku z jego propozycją. Połowa ekranów umieszczonych wokół stołu przełączyła się automatycznie na ten sam kanał. Twarz, na którą Clavain teraz spoglądał, wyglądałaby niemal tak samo, jak jego własna, gdyby nie brak oka. Była to twarz jego brata. Warrena otaczały oficjalne insygnia Koalicji oraz kilkanaście złączy ogólnosystemowych mediów. Był w trakcie przemówienia.

– ...wyrazić mego szoku – mówił. – A raczej wściekłości i oburzenia. Nie tylko zamordowali cenionego kolegę i głęboko doświadczonego członka mojego zespołu. Zamordowali mojego brata.

Clavain poczuł, że cały momentalnie drętwieje.

– Co to jest?

– Transmisja na żywo z Deimosa – powiedziała cicho Galiana. – Idzie w tej chwili na wszystkie sieci.

– Dopuszcili się niewyobrażalnej wręcz zdrady – kontynuował Warren. – Dokonanego z premedytacją i zimną krwią morderstwa emisariusza pokojowego.

I wtedy nagranie wideo zastąpiło twarz Warrena. Nagranie musiało być zrobione z samego Deimosa albo jednego z nadzorujących blokadę satelitów. Na ekranie pojawił się prom Clavaina leżący w pyłe w niewielkim oddaleniu od wału. Clavain patrzył jak robał niszczy statek, potem na zbliżeniu, na siebie i Voi biegnących ku schronieniu. Oroborus dopadł Voi. Jednak tym razem nie było drabinki opuszczonej mu na pomoc. Zamiast niej ujrzał smugi wystrzałów z broni skierowanej wprost ku niemu, przyszpilające go do ziemi. Poważnie zraniony próbował wstać,

przynajmniej podczołgać się o kilka choćby centymetrów bliżej swych oprawców, jednak robał był już nad nim.

Clavain obserwował, jak zostaje pożarty.

Twarz Warrena pojawiła się z powrotem.

– Robale wokół gniazda były pułapką zastawioną przez Wspólnotytów. Śmierć mojego brata musiała zostać przygotowana z kilkudniowym, a może nawet kilkutygodniowym wyprzedzeniem. – Jego twarz aż emanowała zbrojną stanowczością i opanowaniem.

– Może być na to tylko jedna odpowiedź. Odpowiedź, którą pajaki... Wspólnotyci, zrozumieją bez cienia wątpliwości. Od miesięcy popychali nas ku zdecydowanym krokom. – urwał i milcząco skinął głową niewidocznej publiczności. – Cóż, tym razem dostaną to, o co się tak prosili. Prawdę powiedziawszy, nasze działania są już w toku.

– Dobry Boże, nie... – powiedział Clavain, jednak było to już wyłącznie puste życzenie. Na ekranach widział wyraźnie rosnącą flotę inwazyjną Koalicji celującą prosto w Marsa.

– Myślę, że to oznacza wojnę – powiedziała Galiana.

Wspólnotyci wypadli na dach gniazda zajmując pozycje obronne wokół kopuł i wzdłuż wału. Większość z nich wyposażona była w taką samą broń, jakiej użyli przeciwko Oroborusowi. Mniejsze grupki ustawiały automatyczne działka na trójnogach. Pojawiły się też ze dwa cięższe działa antyszurmowe. Większość z nich pochodziła z nadwyżek wojennych. Przed piętnastu laty Wspólnotyci uniknęli zagłady dzięki rozwinięciu śmiertcionośnych technologii wojennych, jednak systemy zaprojektowane do niszczenia statków przeciwnika podczas kosmicznych bitew były po prostu zbyt potężne, aby użyć ich przeciwko bliskim celom. Do odparcia desantu na powierzchnię planety nadawały się jeszcze mniej. Z kolei Clavain widział wyraźnie, że z tym, co Wspólnotytom udało się zgromadzić zwłaszcza przeciwko takim siłom, jakie wysłał na Marsa Warren, Wspólnotyci nie mieli żadnych szans na odparcie ataku. Spowolnienie, ale nie odparcie.

Galiana wręczyła mu maskę do oddychania, zmusiła do założenia lekkiego pancerza z kameleoflażem, a do ręki wcisnęła niewielki miotacz. Clavain czuł się dziwnie trzymając broń w rękach. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek przyjdzie mu znów ścisnąć kolbę. Tym bardziej, że w tej chwili mógł użyć go przeciwko jednemu tylko przeciwnikowi – wojskom swojego brata. Przeciwko swojej własnej stronie.

Czy dałby radę?

Było oczywiste, że Warren go zdradził. Musiał doskonale wiedzieć o robalach wokół gniazda. A zatem Warren okazał się zdolny do najgorszej możliwej zdrady. Po raz pierwszy w życiu Clavain czuł do brata jedynie czystą nienawiść. Warren widocznie liczył na to, że

robalom uda się zniszczyć doszczętnie prom i zabić Clavaina i Voi za jednym zamachem. Musiał być naprawdę zawiedziony, kiedy Clavainowi udało się dotrzeć do wału. I wściekły tym bardziej, kiedy Clavain zdołał połączyć się z nim już z gniazda. To jednak nie przeszkodziło jego głównemu planowi. Połączenie dyplomatyczne było całkowicie zabezpieczone. Nawet Demarchiści nie mieli dostępu do ich rozmowy. Dzięki temu połączenie Clavaina można było łatwo ukryć. Obrazy z satelitów zafałszować tak, aby widać na nich było, że Clavain ginie nie dotarwszy do wału. Wszystko aby udowodnić zdradę Wspólnotytów. Oczywiście, Demarchiści prędzej, czy później zorientują się w podstępie. Jednak jeśli plan Warrena w pełni się powiedzie, do tego czasu już i tak będą zaangażowani w konflikt. A przecież tylko o to Warrenowi w istocie chodziło.

Dwaj bracia, pomyślał Clavain. Pod wieloma względami jakże podobni. Obaj znaleźli się w objęciach wojny, jednak Clavain okazał się kochankiem niestałym w uczuciach, w końcu zwycięstwa go zmęczyły. Nie został również ranny tak poważnie, jak Warren. Zresztą, może o to właśnie chodziło. Warren chciał kolejnego konfliktu, aby pomścić to, co odebrał mu pierwszy.

Clavain gardził nim i litował się w równym stopniu.

Odnalazł bezpiecznik broni. Miotacz, kiedy przyjrzał mu się nieco uważniej, okazał się nie tak znowu inny od tych, jakimi sam posługiwał się w czasie wojny. Odczyt z wyświetlacza powiedział mu, że broń jest w pełni naładowana.

Spojrzał w niebo.

Siły atakujących zrobiły twarde podejście i weszły w atmosferę wprost nad Murem – pięćset ognistych kul opadających na gniazdo. Płomienie rozgrzanych tarciami gazów jaśniały na kilka cali od pancerzy ablacyjnych. Kilka statków podeszło zbyt prostopadle i spłonęło rozerwane siłami zbyt wielkiego tarcia. Clavain znał ten scenariusz aż za dobrze, plany ataku były opracowywane od lat, zdażyły mu się wbić dobrze w pamięć.

Działa antyszturmowe powitały napastników ogniem jako pierwsze. Naprowadzały się na smugi plazmy pozostawiane przez opadające statki, po czym celowały w najgorętszy punkt natarcia tuż przed ich dziobami. Laserowe impulsy słały w niebo śmierć. Trafione pojazdy wysyłały pojedynczy oślepiający błysk, by potem opadać już ku powierzchni milionem żarzących się fragmentów. Pierwszy tuzin, drugi... W sumie może około pięćdziesięciu, zanim znalazły się na tyle blisko, że ciężkie działa nie były już w stanie złapać celu. Clavain przypomniał sobie, że symulacje zakładały, iż około czterystu jednostek powinno przetrwać wejście w atmosferę i pierwszy kontratak Wspólnotytów. Galianie nie robiło to większej różnicy. I tu rodził się przedziwny paradoks. Galiana przecież musiała być w stanie przeprowadzać dokładnie takie same symulacje. Musiała więc doskonale wiedzieć, iż jej prowokacyjne próby ucieczki ściągną jej w końcu na głowę coś, z czym nie będzie sobie mogła poradzić.

Coś, co było w stanie zniszczyć ją doszczętnie.

Ci z atakujących, którzy przetrwali pierwszą falę kontrataku wysypywali się teraz z macierzystych jednostek w swoich jednoosobowych gondolach desantowych. Wystawieni byli przy tym na potworne przeciążenia, jednak nie było to nic, z czym ich organizmy nie mogły sobie poradzić. Ich układy krwionośne wspomagane były przez jedyny dostępny w szeregach Koalicji rodzaj wszczepów.

Pierwsze gondole nadlatywały już z ponaddźwiękową prędkością ku gniazdu. Robale próbowały je atakować, jednak były na to zbyt powolne. Tymczasem ludzie Galiany obsadzili stanowiska ogniowe przy działach i próbowali strącić tyle pojazdów, ile tylko byli w stanie. Clavain trzymał broń blisko przy ciele nie marnując ładunków. Czekał, aż będzie mógł zacząć strzelać do celów, które miał szansę uszkodzić.

Ponad nimi gondole wykonały ostry zwrot na granicy swoich możliwości i celując samobójczo w gniazdo kontynuowały lot. Już nad samym gniazdem otwierały się jak dojrzałe kasztany uwalniając z wnętrza pilota w absorbcyjnym skafandrze. Tuż przed przyziemieniem skafandry eksplodowały wyglądającymi jak wielkie jeżyny balonami ochronnymi, które chroniły pilotów w momencie upadku. Odbijali się w nich od gruntu jak plażowe piłki, po czym zatrzymywali się, a flaczejące skafandry uwalniały nie pilota już, a w pełni gotowego do walki żołnierza. Każdy z nich już w pierwszej chwili po wylądowaniu miał przed oczami generowaną w czasie rzeczywistym mapę gniazda z zaznaczonymi pozycjami wroga uaktualnianymi na bieżąco przez obserwujące pole bitwy satelity.

Clavain padł na ziemię za krzywizną kopuły, zanim najbliższy stojący żołnierz zdążył go namierzyć. Rozgorzała walka bezpośrednia. Clavain musiał to ludziom Galiany przyznać – walczyli jak same diabły. A do tego wydawali się skoordynowani przynajmniej równie dobrze, co atakujący. Jednak ich broń i osłony były zupełnie niewystarczające. Kameleoflaż był skuteczny wyłącznie przeciwko pojedynczemu przeciwnikowi, albo zmasowanym siłom nadciągającym z jednej strony. Mając żołnierzy Koalicji wszędzie wokół siebie, skafander Clavaina dosłownie wariował próbując zlać się z tłem z każdej strony, niczym kameleon ogłupiały w lustrzanym labiryncie.

Niebo nad ich głowami przybrało dziwną, ciemnopurpurową barwę. I purpura ta zaczęła teraz opadać na gniazdo. Najwyraźniej Galiana rozpyliła coś w rodzaju nieprzenikliwej dla podczerwieni i zwykłej wizji zasłony dymnej. Uniemożliwiało to obserwację satelitarną, jak również neutralizowało kameleoflaż skafandrów przeciwnika. Tego w symulacjach Warrena nie było. Galiana minimalnie próbowała podnieść swoje szanse.

Z mgły nagle wyłonił się żołnierz. Jego kameleoflaż upstrzony był teraz wściekle rzucającymi się w oczy purpurowymi cętkami. Clavain nagle zorientował się, że spogląda w posepny wylot lufy. Żołnierz strzelił, jednak ładunek został w pełni zaabsorbowany przez pancerz. Clavain odwdzieczył się pięknym za nadobne posyłając tamtego na ziemię. Wszystko

to, co do tej pory uczynił nie było jeszcze zdradą. To była wyłącznie obrona osobista.

Człowiek, do którego strzelił był ranny, ale żył. Clavain podszedł do niego i ukląkł starając się z całej siły nie spoglądać na ranę.

– Słyszysz mnie? – spytał.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, ale przez chwilę wydawało mu się, że pod maską widzi usta tamtego układające się w jakieś słowo. Żołnierz był zaledwie dzieciakiem, prawdopodobnie ledwie pamiętającym poprzednią wojnę.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć – Clavain kontynuował. – Zdajesz sobie sprawę z tego, kim jestem?

Przez chwilę zastanawiał się na ile jego twarz daje się rozpoznać widziana przez maskę. A potem nagle dopadło go swoiste zobojętnienie. Owszem, mógł powiedzieć chłopakowi, że to on – Nevil Clavain, jednak co by w ten sposób osiągnął? Leżący przed nim żołnierz umrze za kilka minut, może nawet jeszcze szybciej. Czemuż miałoby służyć uświadomienie temu młodemu nieszczęśnikowi, że powodem do ataku, w którym wziął udział było zwykłe kłamstwo? Że nie umiera za żadną szczytną sprawę? Równie dobrze mógł wszechświatowi oszczędzić tego jednego aktu bezduszności.

– Zapomnij... – powiedział odwracając się od swej ofiary. A potem ruszył w głąb gniazda, by sprawdzić kogo jeszcze zdoła zabić, zanim karta się odwróci.

A karta się nie odwróciła.

– Zawsze miałeś szczęście – powiedziała Galiana pochylając się nad nim. Znów znajdowali się gdzieś pod ziemią, głęboko w gnieździe. Sądząc po wyglądzie, w części medycznej. Leżał na łóżku, cały ubrany, jeśli pominąć zewnętrzną część pancerza. Pomieszczenie było szare, w kształcie dzwonu. W górze obiegała je dookoła antresola.

– Co się stało?

– Dostałeś w głowę, ale będziesz żył.

Przez chwilę zastanawiał się szukając właściwego pytania.

– Co z atakiem?

– Odparliśmy trzy fale. Oczywiście, nie bez strat.

Wokół pomieszczenia, pod antresolą stało około trzydziestu szarych, szpitalnych łóżek nieznacznie zagłębionych w płytkie arkady wypełnione medycznym oprzyrządowaniem. Wszystkie były zajęte. Jak do tej pory nie widział jeszcze tylu Wspólnotytów zgromadzonych w jednym pomieszczeniu. Cześć z nich znajdowała się na krawędzi śmierci. Clavain sięgnął ręką, aby delikatnie obadać swoją głowę. Namacał trochę zaschniętej krwi i pozlepianych nią

włosów. Brak czucia musiał być wywołany znieczuleniem. Ogólnie, mogło być gorzej, nie miał problemów z pamięcią, czuł się normalnie. Kiedy stanął na nogi towarzyszyły mu tylko nieznaczne zawroty głowy.

– Wiesz, że Warren nie poprzestanie na trzech.

– Wiem. Wiemy, że będzie więcej.

Podszedł do balustrady i spojrzał w dół. Spodziewał się dostrzec jakąś skomplikowaną medyczną aparaturę, jednak środek pomieszczenia był pusty. Gładka, szarościenna studnia. Wstrząsnął się. Było tu chłodniej, niż w innych częściach gniazda, powietrze niesło ze sobą delikatny, szpitalny zapach, jaki zapamiętał ze swojego okresu rekonwalescencji na Deimosie. Co wzbudziło w nim jeszcze większe dreszcze to fakt, że wielką część rannych i umierających stanowili żołnierze w wieku niewiele starszym, niż oglądane niedawno dzieci. Być może nawet niektórzy z nich byli oglądany niedawno dziećmi. W pełni Współwstąpieni, z załadowanymi przez implanty tuż przed samym atakiem programami walki.

– I co teraz zamierzasz? Przecież wiesz, że nie możesz wygrać. Warren w atakach stracił nikły ułamek dostępnych sił. Wy wyglądacie, jakbyście stracili połowę gniazda.

– To jeszcze nie jest najgorsze – powiedziała Galiana.

– Co masz na myśli?

– Nie jesteś jeszcze całkiem gotów, jednak pokażę ci za parę chwil.

Poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach.

– Co to znaczy „nie całkiem gotów”?

Galiana spojrzała mu prosto w oczy. Głęboko.

– Clavain, otrzymałeś bardzo poważne trafienie w głowę. Zewnętrzna rana nie była wielka, jednak krwawienie wewnętrzne... gdybyśmy nie interweniowali już byłbyś martwy.

Zanim zdołał zadać cisnące mu się na usta pytanie, Galiana zdążyła na nie odpowiedzieć.

– Zaaplikowaliśmy ci niewielką ilość medybotów. Poradziły sobie świetnie z obrażeniami. Jednak wydawało się zasadnicze dla twego bezpieczeństwa, aby pozwolić im na rozwój.

– Umieściliście w mojej głowie replikatory?

– Niepotrzebnie się tak unosisz. Już teraz rozprzestrzeniają się po całej siatce neuronalnej twojego mózgu, jednak ilość masy szarej jaką przy tym zużyją jest minimalna. Załedwie kilka milimetrów sześciennych w skali całego mózgu.

Zastanawiał się, czy Galiana przypadkiem nie blefuje.

– Niczego nie czuję.

– I nie poczujesz. Nawet przez sekundę, tak to działa. – Po czym wskazała mu pustą przestrzeń pośrodku pomieszczenia. – Spójrz tam.

– Przecież tam nic nie ma – powiedział, ale zanim jeszcze skończył wiedział, że się myli. W studni coś było. Zamrugał oczami i odwrócił na moment spojrzenie, ale kiedy popatrzył znów

to, co wcześniej wydawało mu się, iż dostrzegł – widmowe i rozmyte – wciąż tam było nabierając ostrości i kształtów. Była to przedziwna, trójwymiarowa struktura, skomplikowana niczym struktura białka. Składała się z pętli, rozgałęzień, rozrostów, tuneli zatopionych w widmowej, czerwonej matrycy. Nagle zrozumiał. Oto patrzył właśnie na mapę gniazda, wkopanego głęboko w powierzchnię Marsa. Tak, jak Koalicja przypuszczała, gniazdo sięgało głębiej, niż oryginalna baza, jednak rzeczywistość okazała się przerastać nawet najśmielsze oczekiwania. Clavain podświadomie próbował zatrzymać ten obraz w umyśle. Najwyraźniej jego wywiadowcze instynkty były w nim wciąż silniejsze, niż świadomość, że i tak przecież nie zobaczy już nigdy Deimosa z bliska.

– Medyboty w twoim mózgu wniknęły w ośrodek wzroku – powiedziała Galiana. – To pierwszy krok do Transoświecenia. Od tej chwili jesteś dopuszczony do generowanego obrazowania obszarów, w których działamy. No, większości, w każdym razie.

– Powiedz, że to nie było zaplanowane. Powiedz mi, że nie zamierzałaś zainfekować mnie maszynami przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nie, nie planowałam tego. Jednak nie mogłam pozwolić, aby twoje uprzedzenia powstrzymały mnie przed uratowaniem ci życia.

Obraz wciąż się rozrastał, stawał bardziej i bardziej złożony. Pojawiły się drobne świetlne punkciki, część z nich poruszała się wolno.

– A to co?

– Widzisz właśnie wszystkich pozostałych Wspolnotytów. I jak? Jest nas tylu, ilu myślałeś?

Clavain oszacował, że w całym kompleksie znajduje się nie więcej niż jakieś siedemdziesiąt światełek. Rozejrzał się za punktem, w którym się znajdował. Wreszcie znalazł, dwadzieścia dziwnie jasnych punkcików, którym towarzyszył jeden nieco ciemniejszy. Najwyraźniej jego własny. Blisko powierzchni znajdowało się tylko kilka światełek. Większość tuneli musiała zapaść się na skutek ataku, bądź Galiana zablokowała je umyślnie.

– Gdzie są wszyscy? Gdzie są dzieci?

– Dzieci już tu nie ma. Miałeś rację zgadując, że spieszymy się z ich Transoświeceniem.

– Czemu?

– Bo to jedyny sposób, żeby się stąd wydostać.

Obraz znów się zmienił. Teraz każdy z jasnych punkcików był połączony z pozostałymi mieniącymi się niteczkami. Ich układ zmieniał się bezustannie jak w kalejdoskopie. Od czasu do czasu, Clavain nie ogarniał jeszcze całości na tyle, aby mieć pewność, sieć powiązań układała się w mandalę nieuchwytniej symetrii, jednak zanim Clavain był w stanie się nad nią skoncentrować obraz na powrót pogrążał się w chaosie. Przyjrzał się bliżej światełku Galiany. Zauważył, że nawet teraz, rozmawiając z nim, była w stałym, równoległym kontakcie z resztą gniazda.

Nagle coś niezwykle jasnego pojawiło się w centrum obrazu, niczym maleńka gwiazda, przy

której mieniąca się sieć zbladła niemal kompletnie.

– Sieć przedstawia się teraz abstrakcyjnie. Jasne światło reprezentuje jej wszechistnienie, jedność Transoświecenia. Patrz...

Patrzył. Światło, jaśniejsze i nęcące bardziej, niż cokolwiek, czego Clavain do tej pory doświadczył, wyemitowało promień sięgający jego własnego świetlistego punktu. Promień mknął ku niemu przez mapę zbliżając się z każdą sekundą.

– Nowe struktury w twoim mózgu osiągają dojrzałość – wyjaśniła Galiana. – Kiedy promień cię dosięgnie, doświadczysz częściowego zjednoczenia z nami wszystkimi. Przygotuj się, Nevil.

Jej słowa były zbędne. Sam już zaciskał spotniałe palce na barierce antresoli obserwując jak świetlisty promień sięga go i pochłania.

– Powinienem cię za to znienawidzić – powiedział.

– Co się powstrzymuje? Nienawiść jest zawsze łatwiejszą opcją.

– Bo... – Bo to nie miało już żadnego znaczenia. Jego stare życie dobiegło kresu. Wyciągnął rękę ku Galianie, aby chwycić się czegoś, co zakotwiczyłoby go przeciwko temu, co miało się z nim stać. Galiana ścisnęła jego dłoń. Sekundę później poznał pierwsze oznaki Transoświecenia. Doświadczenie było szokujące. Nie dlatego, że było bolesne, czy przepełniające strachem, jednak okazało się być tak nowe i nieoczekiwane. Nagle jego myśli podążyły ścieżkami, które mikrosekundy wcześniej były po prostu niedostępne dla jego umysłu. Kiedy później Clavain zastanawiał się jak mógłby to doznanie opisać zawsze łapał się na tym, że słowa były zwyczajnie niewystarczające. Trudno się było temu dziwić, ewolucja ukształtowała język, by niósł ze sobą wiele znaczeń, jednakże przejście od pojedynczego do kolektywnego pojmowania siebie nie znajdowało sobie wśród nich miejsca. Jednak jeśli nie potrafił ująć sedna, mógł przynajmniej próbować naszkicować metaforę. Czuł się jakby stał na brzegu oceanu i nagle został pochłonięty przez falę wyższą od siebie. Przez chwilę czuł napierającą powierzchnię, próbował oprzeć się jej, nie dopuścić by woda dostała się do płuc. A potem nagle nie było już powierzchni, a to co go otaczało, rozszerzało się równomiernie we wszystkich kierunkach. I mógł się już wyłącznie temu poddać. W ciągu sekund z czegoś przerażająco obcego świat wokół niego zamienił się w coś, do czego mógł i chciał się zaadaptować. Coś, co wydawało się być wręcz kojące. I nawet wtedy czuł, że jest to tylko minimalny ułamek tego, co Galiana doświadcza w każdej chwili swego życia.

– W porządku – powiedziała Galiana. – Na razie wystarczy.

Swoiste doznanie Transoświecenia zaczęło się kurczyć i blednąć, niczym niknące doznanie boskości. Clavain był teraz znów pozostawiony wyłącznie z doznaniem zmysłowymi, bez poczucia jedności z pozostałymi.

– Dobrze się czujesz, Nevil?

– Tak... – w ustach kompletnie mu zaschło. – Tak sędzę.

– Rozejrzyj się.

Tak uczynił.

Pomieszczenie zmieniło się kompletnie. Tak samo, jak wszyscy, którzy w nim przebywali. Czując, jak kołuje mu się w głowie, Clavain poruszał się w świetle. Ściany, poprzednio szare, teraz emanowały światłem. Zupełnie jakby ponury las nagle zamienił się w zaklęty. W powietrzu unosiły się rzędy informacji, ikony i diagramy nad łózkami rannych, szeregi liczb i podsumowań. Wszystko to wyglądało jak jaśniejące zewsząd, delikatne neonowe struktury. Kiedy ruszył ku nim, ikony rozstępowały się i otaczały go, niczym ławice połyskliwych rybek. Czasem odnosił wrażenie, że niektóre z nich śpiewają, lub wywołują u podstawy jego nosa wrażenie na wpół znajomych zapachów.

– Możesz teraz doświadczać wielu rzeczy – odezwała się Galiana – jednak większość z tego nie będzie miała dla ciebie żadnego znaczenia. Potrzebowałbyś wieloletniej nauki, albo głębszej mechanicznej ingerencji, aby zbudować warstwy rozeznania. My odczytujemy to wszystko na poziomie podświadomości.

Galiana była teraz ubrana zupełnie inaczej. Nadal dostrzegał ogólny zarys jej szarego odzienia, jednak było ono teraz ozdobione cekinami świetlnych punktów zbiegających się i formujących łańcuchy boole'owskiej logiki. Ikony tańczyły wśród jej włosów niczym anioły. Była nieludzko piękna.

– Powiedziałaś, że sytuacja jest znacznie gorsza. Czy teraz jesteś gotowa mi pokazać w czym rzecz?

Zabrała go z powrotem do Felki. Po drodze minęli opuszczone teraz pomieszczenia żłobka, w których pozostały jedynie mechaniczne zwierzaki. Przy ich pierwszym spotkaniu Clavain czuł się nieswojo w towarzystwie Felki, choć nie był w stanie sprecyzować, co było tego powodem. Może coś w kompletnej bezcelowości jej poczynań, choć dziewczynka oddawała się temu, co robiła z niepokojącą determinacją, jakby oddawała się aktowi kreacji i zasadniczym dla niej znaczeniu. Ona sama i jej otoczenie nie zmieniły się ani odrobinę od poprzedniej wizyty. Pomieszczenie wciąż było do bólu ascetyczne. Felka też wyglądała tak samo. Jakby od ich wyjścia nie minęła nawet minuta. Jakby rozpoczynająca się właśnie wojna i ataki na gniazdo – będące przecież tylko preludium do nieuchronnego konfliktu – były jedynie przeblyskami cudzego snu. Niczym, co byłoby w stanie wyrwać Felkę z oddania, z jakim poświęcała się swojemu zadaniu.

Ale owo zadanie tym razem zapało Clavainowi dech w piersi.

Poprzednio widział ją, jak po prostu wykonuje dziwne gesty w powietrzu. Tym razem

nanoboty w jego mózgu odkryły przed nim prawdziwą naturę zajęcia dziewczynki. Wokół Felki, otaczając ją niczym kokon znajdowało się widmowe wyobrażenie Wielkiego Muru.

Felka coś z nim robiła.

Clavain zauważył, że nie było to wyskalowane odwzorowanie. Mur wydawał się być znacznie wyższy w stosunku do swojej średnicy. Powierzchnia też nie wyglądała jak ledwo widoczna membrana, jak w przypadku rzeczywistego Muru, wyglądała bardziej, jak trawione szkło. Rysunek był płataniną linii, które przechodziły od grubszych w cieńsze, kłębiły się we fraktalnych splotach, aż wreszcie rozmywały się w mgiełce linii zbyt cienkich, by oko mogło je wyróżnić. Natężenie kolorów rosło, lub opadało i na te zmiany Felka odpowiadała z przerażającą skutecznością. Wyglądało to tak, jakby zmiana koloru zapowiadała jakieś zagrożenie, które Felka, dotykając linii według jakiegoś niepojętego kodu, neutralizowała i zapobiegała rozprzestrzenieniu się.

– Nie rozumiem – powiedział Clavain. – Myślałem, że zniszczyliśmy Mur, że zabiliśmy wszystkie jego ożywione struktury.

– Niezupełnie – odparła Galiana. – Poważnie go uszkodziliście. Zatrzymaliście rozrost i zniszczyliście jego systemy samoregenerujące, jednak samego Muru nie zdołaliście zabić.

Sandra Voi musiała się domyślać, uświadomił sobie Clavain. To dlatego zastanawiała się jakim cudem Mur zdołał utrzymać się tak długo. Galiana teraz dopowiedziała mu resztę, o tym jak przed piętnastoma laty udało im się dzięki zakopany głęboko pod strefą robali kablom zorganizować połączenie kontrolne z Murem.

– Powstrzymaliśmy degradację i ustabilizowaliśmy stan Muru za pomocą specjalnego oprogramowania, jednak, kiedy urodziła się Falka, okazało się, że ona sama potrafi osiągnąć ten sam poziom. A pod wieloma względami nawet lepszy. Co więcej, to sprzężenie zwrotne wspomogło jej rozwój. Sprawiała wrażenie, jakby w Murze znalazła... – Galiana urwała niezdecydowanie. – Już chciałam powiedzieć – przyjaciela.

– To czemu nie powiedziałaś?

– Ponieważ Mur to tylko maszyna. Jeśli zaś Felka odnalazła w nim pokrewieństwo, czym by to czyniło ją samą?

– Kimś samotnym, to na pewno – Clavain obserwował ruchy dziewczyny. – Wydaje się, że pracuje szybciej, niż poprzednio. Czy to możliwe?

– Powiedziałam ci już, że sytuacja jest gorsza, niż dawniej. Teraz musi pracować znacznie ciężiej, żeby utrzymać Mur w całości.

– Warren musiał go zaatakować. Możliwość zburzenia Muru od dawna figurowała w naszych planach, jednak nigdy nie sądziłem, że dojdzie do tego tak szybko. – Spojrzał na Felkę. Możliwe, że wyobraźnia płatała mu figle, ale wydawało mu się, że mała pracowała teraz jeszcze szybciej, niż kiedy weszli do pomieszczenia.

– Jak długo według ciebie zdoła utrzymać Mur w całości?

– Nie za długo. Prawdę powiedziawszy, odnoszę wrażenie, że zaczęła przegrywać już w tej chwili.

Była to prawda. Kiedy Clavain przyjrzał się uważniej zauważył, że górna krawędź Muru nie była już idealnym matematycznie kołem. Pojawiły się na niej szczyrby, które powoli, acz nieubłaganie pogłębiały się zżerając membranę Muru. Wysiłki Felki wyraźnie skierowały się ku tym pęknięciom. Instruowała strukturę Muru do koncentracji sił regeneracyjnych na tych krytycznych wyłomach. Clavain wiedział, że odległe procesy, którymi zawiadywała Felka były niewyobrażalne. W strukturze Muru rozciągała się siatka połączeń i przewodów limfatycznych, których grubość wynosiła od kilku metrów, do zaledwie mikronów, którymi to połączeniami pompowane były z ponaddźwiękową prędkością biliony mikromaszyn. Felka decydowała o tym gdzie i jakie nanoboty wysłać, jej ręce wykonywały gesty otwierające i zamykające połączenia pomiędzy uszkodzonymi rejonami Muru, a zatopionymi głęboko w jego podstawach modułami fabrycznymi, które produkowały aktualnie wymagany typ nanobotów. Przez ponad dekadę, jak wyjaśniła Galiana, Felka powstrzymywała Mur przed upadkiem. Jednak do tej pory jej przeciwnikiem była jedynie naturalna erozja wynikająca z działań atmosferycznych i upływu czasu. Bezpośredni atak na Mur oznaczał dla niej zupełnie inną walkę, taką, której nie miała szans wygrać.

Ruchy Felki wyostrzyły się, wyraźnie traciła poprzednią płynność. Jej twarz pozostała bez wyrazu jednak z nerwowości, z jaką jej wzrok przeskakiwał od punktu do punktu dało się wyczytać pierwsze oznaki paniki. Co nie powinno dziwić. Najgłębsze z pęknięć sięgały już jednej czwartej wysokości Muru licząc od góry ku powierzchni i były już stanowczo zbyt szerokie, aby dało się je naprawić. Mur niejako rozłaził się w szwach. Kilometry sześciennego atmosfery wydzierają się przez te pęknięcia na zewnątrz. Utrata ciśnienia początkowo powinna być minimalna, wszak górne warstwy zamkniętej wewnątrz Muru atmosfery były niemalże tak samo rozrzedzone, jak oryginalna atmosfera Marsa. Jednak tylko początkowo...

– Musimy zejść głębiej – powiedział Clavain. – Kiedy Mur się podda nie będziemy mieli nawet cienia szansy, jeśli zostaniemy blisko powierzchni. To będzie jak najgorsze tornado w historii.

– Co twój brat teraz zrobi? Użyje ładunków nuklearnych?

– Nie, nie sądzę. Będzie chciał położyć łapę na wszelkich technologiach, jakie udało wam się tu rozwinąć. Poczekaj aż osiadzie kurz, a potem najedzie gniazdo w sile stukrotnie przewyższającej to, co widzieliście do tej pory. Nie zdołacie się oprzeć. Jeśli będziecie mieli szczęście przeżyjecie wystarczająco długo, aby wyląpał was jako jeńców.

– Nie będzie żadnych jeńców.

– Jak to? Będziecie walczyć do ostatniego człowieka?

– Nie. Masowe samobójstwo także nie figuruje w naszych planach. Nic z tego nie będzie konieczne. Zanim twój brat dostanie się do gniazda nie zostanie tu już nikt.

Clavain pomyślałeś o otaczających gniazdo robalach. I o tym jak małe musiały być szansę przedarciu się ku jakimkolwiek bezpiecznym terenom.

– Sekretne tunele pod strefą robali, tak? Mam nadzieję, że mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie. I owszem, chodzi o sekretny tunel. Dzieci, o które pytałeś, już się nim przedostały. Tylko, że on nie prowadzi poza strefę robali.

– A gdzie?

– Gdzieś znacznie, znacznie dalej.

Kiedy znów przechodzili przez centrum medyczne, nie było już w nim nikogo. Kilka łabędzioszyich medybotów cierpliwie oczekiwało na przybycie kolejnych ofiar. Felkę zostawili samą, pogrążoną w zaciekłych próbach ratowania walącego się Muru. Clavain próbował zachęcić ją do pójścia z nimi, jednak Galiana przekonała go, że było to bezcelowe. Mała prędzej by umarła, niż dała się odseparować od Muru.

– Nie rozumiesz – powiedziała – bo przypisujesz jej zbyt wiele normalnych, ludzkich odruchów. Podtrzymywanie Muru jest najważniejszym celem w jej życiu, ważniejszym niż ból, miłość, śmierć, cokolwiek, co ty i ja zdefiniowalibyśmy jako ludzkie.

– Więc co się z nią stanie, kiedy Mur rzeczywiście umrze?

– Jej życie dobiegnie końca – powiedziała Galiana.

Niechętnie, ale jednak ruszył dalej bez dziewczynki. Choć poczucie wstydu nie chciało go opuścić. Logicznie, było to postępowanie właściwe. Bez jej wsparcia Mur runąłby znacznie szybciej, co kosztowałoby życie ich wszystkich, a nie tylko jedną, nawiedzoną istotę. Zastanawiał się teraz jak głęboko będą musieli zejść, aby uniknąć zagrożenia ze strony potężnego ssania, jakie spowoduje uciekająca atmosfera.

Regiony, przez które teraz przechodzili były szare i zimne, jak te, które Clavain widział na samym początku. Nie było tu zatopionych w ścianach generatorów, które wywoływały obrazy odbierane przez wszczepy. Nawet świetlna aura Galiany zniknęła. Po drodze spotkali zaledwie kilku Wspólnotytów, którzy wszyscy podążali w tym samym kierunku – ku najniższym poziomom gniazda. Te stanowiły dla Clavaina totalną zagadkę. Dokąd właściwie Galiana go prowadziła?

– Skoro mieliście gotową drogę ucieczki, dlaczego zwlekaliście tak długo z ewakuacją dzieci?

– Już ci mówiłam, nie mogliśmy przeprowadzić ich przez Transoświecenie zbyt szybko. Im

są starsze tym lepiej. Jednak teraz...

– Teraz nie można już było zwlekać?

Wreszcie osiągnęli pomieszczenie o akustyce podobnej, jak hangar na powierzchni. Clavain słyszał jak głosy rozchodzą się echem po dużej powierzchni. Panował tu mrok z wyjątkiem kilku rozlanych plam światła. Jednak nawet pomimo ciemności Clavain wyłowił sylwetki porzuconego sprzętu załadunkowego. Platformy, dźwigi, dezaktywowane roboty. Powietrze pachniało tu ozonem. Coś wciąż się tu działo.

– Czy to fabryka, w której produkujecie promy?

– Rzeczywiście, wytwarzaliśmy tu niektóre części, jednak była to tylko produkcja uboczna.

– Uboczna od czego?

– Tunelu, rzecz jasna.

Galiana przywołała więcej światła. Na dalekim końcu tunelu, gdzie właśnie zmierzali, majaczyły sylwetki cylindrycznych obiektów o ostrych czubkach. Wyglądały jak wielkie pociski. Spoczywały na szynach, jeden za drugim. Czubek pierwszego w linii celował w czarną dziurę w ścianie. Clavain już miał coś powiedzieć, kiedy dobiegło go nasilające się buczenie i pierwszy z pocisków zniknął w otworze. Zostały trzy dalsze, które teraz po kolei przesunęły się o jedno miejsce w przód. Przed nimi stali Wspólnotyci czekający na wejście na pokład. Przypomniawszy sobie, co Galiana powiedziała o niepozostawieniu nikogo.

– No więc na co ja tu patrzę?

– Na wyjście z gniazda. I drogę ucieczki z Marsa, bo przypuszczam, że zdążyłeś już do tego dojść sam.

– Z Marsa nie ma ucieczki. Blokada jest nie do przejścia. Czy próby z promami jeszcze cię tego nie nauczyły?

– Promy były tylko dla odwrócenia uwagi od naszej prawdziwej taktyki. Miały podsycać w was przekonanie, że będziemy próbować tej drogi ucieczki, podczas kiedy ta prawdziwa była już w pełni funkcjonalna.

– Dość kosztowne pozory, muszę zauważyć.

– Niezupełnie. Skłamałam, kiedy powiedziałam, że nie stosujemy klonowania. Stosowaliśmy, jednak tylko w celu produkcji martwych ciał. Umieszczaliśmy je w promach przed wystrzeleniem.

Po raz pierwszy od opuszczenia Deimosa Clavain uśmiechnął się niemal rozbawiony przebiegłością planu Galiany.

– Do tego dochodził jeszcze jeden cel. Promy miały sprowokować waszą stronę do otwartego, zmasowanego ataku na gniazdo.

– Więc wszystko to było prowadzone z rozmysłem od samego początku?

– Owszem. Potrzebowaliśmy ściągnąć całą waszą uwagę na gniazdo oraz zwabić flotę

inwazyjną na niską orbitę ponad Marsem. Oczywiście, mieliśmy nadzieję, że ofensywa nastąpi później, niż to się stało, ale rozważaliśmy scenariusz, w którym nie przewidzieliśmy spisku Warrena.

– A zatem macie gotowy plan...

– Owszem.

Następny pocisk wystrzelił wprost w zięjący czernią tunel napełniając powietrze ozonem. Pozostały już tylko dwa.

– Rozmawiać będziemy później, nie zostało nam już zbyt wiele czasu. – Wyświetliła mu projekcję Muru. Potężne wyrwy sięgały już połowy jego wysokości. – Rozpada się.

– A co z Felką?

– Wciąż próbuje go uratować.

Spojrzał na Wspólnotytów wsiadających na pokład pierwszego w kolejce pocisku. Próbował sobie wyobrazić dokąd ma ich zabrać. Do bezpiecznego schronienia, które byłby w stanie rozpoznać, czy poza wszelkie granice percepcji, tak odległe, że nieodróżnialne od śmierci? Czy miał odwagę sprawdzić to sam? Zapewne. W końcu nie miał w tej chwili nic do stracenia, do domu wrócić już nie mógł. Lecz jeśli miał podążyć za Galianą, za żadną cenę nie mogło się to odbyć z ugniatającym poczuciem wstydu spowodowanego zostawieniem Felki. Odpowiedź, gdy już się wyklarowała, była prosta.

– Wracam po nią. Jeśli nie będziecie mogli na nas poczekać, to nie czekajcie, ale nie próbuj mnie powstrzymać.

Galiana spojrzała na niego powoli kręcąc głową.

– Clavain, nie licz na to, że ona ci podziękuje za uratowanie życia.

– Może jeszcze nie dziś – odparł.

Czuł się, jakby wbiegał z powrotem do płonącego budynku. Biorąc pod uwagę wszystko to, co Galiana powiedziała mu o upośledzeniu dziewczynki – jakkolwiek by na nią nie spojrzeć była niewiele bardziej rozwinięta, niż bezmyślny automat – to, co chciał zrobić było kompletnie pozbawione sensu. W dodatku balansowało na granicy samobójstwa. Lecz jeśli odwróciłby się do niej plecami, sam czułby się człowiekiem w jeszcze mniejszym stopniu. Źle odczytał intencje Galiany, kiedy ta powiedziała, że dziewczynka jest dla nich bezcenna. Przypuszczał, że chodziło jej o jakąś szczególną więź emocjonalną, podczas gdy Galiana miała na myśli wartość ściśle praktyczną. Utrzymując Mur w całości Falka rzeczywiście była dla gniazda bezcenna. A skoro teraz gniazdo pozostawało opuszczone, również Falka stawała się bezużyteczna. Czy czyniło to Galianę zimną jak maszyna, czy po prostu była niezawodną realistką?

Żłobek i pokój Falki znalazł zabłądziwszy po drodze tylko raz, czy dwa. Implanty w jego głowie znów wyświetliły obraz. Falka siedziała otoczona ruinami Muru. Ogromne wyłomy sięgały już powierzchni, a odłamy wielkie jak góry lodowe leżały w otaczającej gniazdo zwietrzelinie.

Przegrywała i tym razem zdawała sobie z tego sprawę wyraźnie. To już nie była jakaś trudniejsza faza gry. To była walka, której po prostu wygrać nie mogła i na jej twarzy można było dostrzec oznaki, iż fakt ten zaczyna do niej docierać. Wciąż zawzięcie pracowała rękoma, jednak twarz była czerwona z wysiłku. Malowały się na niej złość i gniew.

I po raz pierwszy, jakby go dostrzegła.

Coś musiało przebić się przez tę jej skorupę, pomyślał Clavain. Po raz pierwszy od lat wydarzyło się coś, co wykraczało poza jej kontrolę. Coś, co burzyło jej poukładany, geometryczny świat, jaki wokół siebie zbudowała. Być może nie była w stanie odróżnić jego twarzy od jakiegokolwiek innej, jednak coś sobie uświadomiła na pewno. Że oto świat dorosłych znacznie ją teraz przerósł i, że wyłącznie ze strony owego świata mógł przyjść jakikolwiek ratunek. A potem zrobiła coś, co sprawiło, że z szoku zaniemówił. Spojrzała mu głęboko w oczy i wyciągnęła do niego rękę. Jednak nie było nic, co mógłby uczynić, aby jej pomóc.

Kilkadziesiąt minut później, choć Clavain mógłby przysiąc, że upłynęły godziny, znów był w stanie normalnie zaczerpnąć tchu. Uciekli z Marsa. Galiana, Felka i on, zamknięci w ostatnim pocisku.

I wciąż byli żywi.

Tunel, w którym panowała próżnia, zagłębiał się głęboko w Marsa. Początkowo biegł szerokim łukiem pod skorupą planety, by potem odbić ku powierzchni, tysiące kilometrów dalej, hen od Muru, w rejonie, gdzie atmosfera Marsa była cienka i rzadka. Drażnienie tunelu nie przedstawiało dla Wspólnotytów większego problemu. Podobne przedsięwzięcie nie miałyby szans na planecie z płytami tektonicznymi, jednak Mars pod swą powierzchnią był geologicznie spokojny. Nie musieli się nawet przejmować umocnieniami. Wydobytą materię kompresowali i wykorzystywali do stemplowania konstrukcji zagrożonej niewyobrażalnym ciśnieniem. Pocisk przyspieszał w tunelu przez pięć minut z prędkością trzech G. Ich fotele odchyliły się i oplotły wokół nich uciskając nogi i pompując krew ku górze, do mózgu. Mimo to ciężko było nawet myśleć, nie mówiąc już o poruszaniu się i Clavain pomyślał, że w sumie i tak nie jest to gorsze od warunków, jakie musieli znosić pierwsi eksplorery kosmosu odrywający się od Ziemi. Poza tym on sam przeszedł gorsze rzeczy podczas wojny.

Wyskoczyli z tunelu przez zamaskowane wrota robiąc dziesięć kilometrów na sekundę. Na

chwilę liznęła ich atmosfera Marsa, jednak zanim Clavain zdążył sobie uświadomić drobny spadek prędkości, było już po wszystkim. Powierzchnia Marsa uciekała za nimi z wielką prędkością.

W pół minuty byli w przestrzeni kosmicznej.

– Sensory systemów blokady nie zdołają nas wykryć – powiedziała Galiana. – Umieściliście swoje najlepsze satelity obserwacyjne dokładnie nad gniazdem. Nawet biorąc pod uwagę, że aktywnie podsycaliśmy wasze zainteresowanie w tamtym rejonie, był to poważny błąd. W tej chwili jesteście daleko poza zasięgiem sieci.

Clavain pokiwał głową.

– To jednak nie ułatwia całej sprawy. Kiedy tylko oddalimy się od powierzchni planety zostaniemy wykryci jako normalny statek przemierzający otwartą przestrzeń. Nawet, jeśli z opóźnieniem, w końcu jednak zostaniemy wykryci.

– Zostalibyśmy – powiedziała Galiana – gdybyśmy zmierzali ku otwartej przestrzeni.

Siedząca tuż przy nim Felka wstrząsnęła się. Zapadła w jakiś rodzaj katatonii. Oderwanie od Muru odebrało znaczenie jej egzystencji. Z każdą chwilą zapadała się coraz głębiej w otchłań bezcelowości. Być może, pomyślał Clavain, przyjdzie jej się tak zapadać bez końca. Jeśli tak to miało wyglądać, jedynie przedłużył jej agonię. Czy wykazał się okrucieństwem? Być może tylko się łudził, ale za jakiś czas, czy maszyny Galiany nie mogłyby spróbować odwrócić zniszczeń, jakie zadały lata temu? Mogli przecież przynajmniej spróbować. Oczywiście, zależało to w znacznej mierze od tego, dokąd właściwie lecieli. Do któregoś z pozostałych gniazd Wspólnotytów, jak próbował zgadywać. Aczkolwiek wydawało się mało prawdopodobne, aby zdołali przeżyć podróż. Przy dziesięciu kilometrach na sekundę musiałyby zabrać całe lata.

– Dokąd nas wieszysz? – spytał w końcu.

Galiana wydała jakąś neutralną komendę, która sprawiła, że pocisk stał się przejrzysty.

– Tam – powiedziała.

Coś majaczyło daleko przed nimi. Galiana przybliżyła obraz, aż obiekt stał się wyraźnie widoczny.

Ciemny, bezkształtny. Jak Deimos bez fortyfikacji.

– Phobos – powiedział Clavain w zamyśleniu. – Lecimy na Phobosa.

– Owszem.

– Ale robale...

– Już ich tam nie ma – mówiła teraz z tym samym nauczycielskim spokojem, z jakim przemawiał do niego Rementoire całkiem nie tak dawno temu. – Wasza próba pozbycia się ich zawiodła. Byliście przekonani, że nie udało się i nam, jednak to my chcieliśmy, abyście tak myśleli.

Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Mieliście załogę na Phobosie przez cały ten czas?

– Od momentu zawieszenia broni, tak. I muszę przyznać, że mieli tam sporo do roboty.

Phobos zmalął. Zniknęły całe warstwy odkrywając to, co tkwiło w jego wnętrzu. Gotowe do startu. Clavain nigdy w życiu nie widział niczego podobnego, jednak prawdziwa natura obiektu była oczywista na pierwszy rzut oka. Patrzył na coś absolutnie wspaniałego. Na coś, co jak dotąd w historii ludzkości nigdy nie zaistniało.

Statek międzygwiazdny.

– Ruszamy niedługo. Oczywiście, będą próbowali nas zatrzymać. Jednak w chwili, w której większość ich sił jest skoncentrowana blisko powierzchni nad gniazdem, nie dadzą rady. Zostawimy Phobosa i Marsa daleko za sobą. Wyślemy sygnał do pozostałych gniazd. Jeśli zdołają się przedrzeć i dołączyć, weźmiemy ich na pokład. A potem zostawimy za sobą cały Układ.

– Dokąd chcecie polecieć?

– Nie byłoby właściwie „dokąd chcemy polecieć”? Było nie było, lecisz z nami. – urwała na moment. – Rozważamy kilka możliwości. Końcowy wybór będzie zależał od trajektorii pościgu Koalicji.

– A co z Demarchistami?

– Nie będą nas zatrzymywać – powiedziała to z niezachwianą pewnością. Wskazywało to na... Na to, że Demarchiści wiedzieli o statku? Być może. Od dawna już się mówiło, że Demarchiści i Wspólnotyci są sobie bliżsi, niż chcieliby otwarcie przyznać. Clavain nagle przypomniał sobie o czymś.

– A co z robalami zmieniającymi orbitę?

– To była nasza działalność. Nie dało się tego uniknąć. Za każdym razem, kiedy wysyłaliśmy jeden z tych zasobników nieznacznie wytrącaliśmy Phobosa z jego orbity. Nawet po wysłaniu tysięcy zasobników efekt był minimalny. Prędkość Phobosa ulegała zmianie o jedną dziesiątą milimetra na sekundę, jednak nie było możliwości, aby to ukryć. – Spojrzała na Clavaina z czymś na kształt uznania. – będziemy na miejscu za dwieście sekund. Czy chcesz przeżyć?

– Co proszę?

– Zastanów się. Tunel na Marsie miał ponad tysiąc kilometrów długości, co pozwoliło nam rozłożyć przyspieszenie na przestrzeni pięciu minut. Nawet wtedy sięgnęło trzech G. Na Phobosie zwyczajnie nie ma na coś takiego miejsca. Przyjdzie nam zwalniać o wiele gwałtowniej.

Clavain poczuł, jak podnoszą mu się włosy na karku.

– Jak gwałtowniej?

– Kompletne wyhamowanie w jedną piątą sekundy – poczekala aż wartości do niego dotrą. –

To daje około pięciu tysięcy G.

– Tego się nie da przeżyć.

– Nie. To ty tego nie dasz rady przeżyć. W każdym razie nie teraz. Jednak masz już w głowie maszyny. Jeśli na to pozwolisz, będą miały dość czasu, aby ustanowić strukturalną sieć w twoim mózgu. Kabina wypełni się pianką. Wszyscy na moment umrzemy, jednak na Phobosie spokojnie sobie z tym poradzą.

– Nie chodzi tylko o sieć strukturalną, prawda? Będę dokładnie jak ty, bez żadnej różnicy.

– Owszem, staniesz się Współwstąpieniem – Galiana posłała mu delikatniutki uśmiech. – Procedura nie jest nieodwracalna, tyle tylko, że jeszcze nikt nigdy się na to nie zdecydował.

– I chcesz mi wmówić, że nic z tego nie było zaplanowane?

– Nie, choć nie spodziewam się, żebyś mi uwierzył. Jednak coś w tym jest... jesteś dobrym człowiekiem, Nevil. Transoświecenie może ci się przysłużyć. Być może gdzieś w głębi mojego umysłu... w głębi naszego umysłu...

– Czaiła się nadzieja, że do tego dojdzie?

Galiana uśmiechnęła się.

Popatrzył na Phobosa. Nawet bez optycznego przybliżenia widać było, że urósł. Powinni być na miejscu wkrótce. Wolałby mieć trochę więcej czasu do namysłu, ale była to akurat ta jedna rzecz, którą nie dysponował wcale. Potem spojrział na Felkę i zastanowił się, które z nich miało właśnie rozpocząć dziwniejszą podróż. Felka, pogrążając się w świecie, w którym nie było już jej Muru, czy on, doznając Transoświecenia? Ani jedno, ani drugie mogło nie być łatwe. Jednak razem, być może, zdołaliby znaleźć sposób, jak pomóc sobie nawzajem. To było wszystko, na co mógł liczyć w tym momencie.

Clavain pokiwał głową na znak, że jest gotów, aby maszyny owdładnęły jego umysłem. Że jest gotów przejść na stronę wroga.

Z języka angielskiego przełożył Konrad Bańkowski